



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 28 lutego 1954 r.

Nr 9 (205) Rok V



Fot. CAF

MARIA DĄBROWSKA

Iwaszkiewicz

Twórczość Jarosława Iwaszkiewicza była w ciągu tych lat dziesięciu dwukrotnie nagradzana i wielokrotnie omawiana. Z okazji nagrody „Odrodzenia”, z okazji Nagrody Państwowej, z okazji każdego publicznego wystąpienia prasa nasza drukowała mnóstwo wszechstronnych wypowiedzi, w których krytycy, dziennikarze i eseiści starali się jak umieli czuć, a razem i analizie poddawać zarówno pisarza jak działacza. Z działaczem sprawa nie nastroczała żadnych trudności, rzecz była jasna jak dzień, głosy pochwalne płotyły się, mówiąc po staropolsku, jak wianki w. Jarosław Iwaszkiewicz, dusza do młodości podróżnicza, już w ciągu okresu międzywojennego chętnie zwiedzał i wyczerpująco poznawał obce kraje, interesował się ich przyrodą, sztuką, kulturą, historią i obyczajami politycznymi. Nowa epoka naszych dziejów stworzyła warunki pozwalające mu rzucić zasób zdobytych wtedy doświadczeń, wielką znajomość języków, świata i ludzi na szalę sprawy doniosłej, przepięknie ludzkiej, na szalę walki o pokój. Nasz Jarosław, jako jeden z ambasadorów Polski przed tymi rzeczywistymi przedstawicielstwami woli narodów, jakimi są kongresy i rady obrońców pokoju, to wzruszający przykład zużytkowania dla służby narodowej i światu wszystkich możliwości oddziaływania, jakimi się rozporządza. To również przykład złożenia na ołtarz spraw publicznych rzeczy dla każdego pisarza najcenniejszej i najdroższej — czasu koniecznego dla twórczej pracy.

Trudniej było naszym krytykom uporać się z Iwaszkiewiczem-pisarzem. Biedny Jarosław, podobnie jak i ja, należy do tej przeszłej epoki, a nie do „Płajdy” to gwiazdowy zbiór już poździeńnikowy — pisarzy dwudziestolecia, z którego literackim dorobkiem po licznych konsultacjach dopiero niedawno dało sobie, zdawałoby się, radę. Do kanonów obowiązujących dziś naszą krytykę i teorię literatury należy wywiedziony z sążnistych dysput wniosek, że na zaszczytnie miano mniej lub więcej zasłużonych poprzedników naszej obecnej rzeczywistości, czy skromniej mówiąc, naszej obecnej literatury zapracowali albo pisarze rewolucyjni, albo pisarze realizmu krytycznego.

A co z Iwaszkiewiczem? Jakoś nie można go pomieścić ani w jednej kategorii, ani w drugiej. W takim wypadku przychodzi nam na pomoc solenne słowo „przełom”. Iwaszkiewicz był więc pisarzem orderowanym od rzeczywistości społecznej i narodowej, mieszkańcem wieży z kości sioniowej, kunsztownym stylizatorem, a nadto pesymistą szukającym ucieczki przed beznadziejnością życia w metafizycznych tekturach. Jednak przełom wewnętrzny doznany w związku z przełomem dziejów Polski uczynił, albo raczej czyni zeń pisarza zbliżającego się poprzez wzruszenie nad nową rzeczywistością do realizmu, humanizmu i optymizmu. Ta interpretacja życia i twórczości Jarosława, zresztą uprawniona i posiadająca klasyczną tradycję w znanych dziejach przełomów różnych wielkich postaci, zezwala nam spojrzeć wyrozumiale na dawną twórczość znakomitego poety i prozaika; a może nawet zezwala nam przyznać, że w dawnym utworach Jarosława zbyt jest wiele urzekającej piękności, byśmy z króćcą mogli i chcieli wyrzucić tego dorobku. Zabrakłoby bez niego w literaturze polskiej kilku tonów bardzo swoich i subtelnych, ale tak istotnych i potrzebnych, jak w wielkiej orkiestrze istotne są i potrzebne instrumenty bardzo subtelne i o swoistym brzmieniu. Ta interpretacja upoważnia nas też do szukania w owych dawnym utworach zapowiedzi na dzień dzisiejszy, zapowiedzi nowego Iwaszkiewicza.

Chciałabym przy wielkiej Iwaszkiewiczowej uroczystości dopełnić trochę te zaczęte, często bardzo wnikiwe i w najpiękniejszych intencjach podejmowane trudy naszej krytyki, choć nie wiem, czy krytyka będzie z tego zadowolona. Bój się — mówiąc słowami Iwaszkiewicza z jego wypowiedzi na dziesięciolecie — że moje nieuczone, niefachowe uwagi „podkopają uczoność i dopasowanie do naszej rzeczywistości konstrukcje” krytyki. Ale nasza rzeczywistość literacka mieści w sobie o wiele więcej rzeczy niż chcielibyśmy pomieścić w skonstruowanych dla niej ramach. I to jest dobrze, to świadczy o bogactwie i płodności naszych czasów. Lepiej to, gdy coś ramy konstrukcyjne

20 lutego br. w Domu Literatury w Warszawie odbył się uroczysty obchód 60-lecia urodzin i 40-lecia pracy twórczej wybitnego poety i pisarza, Jarosława Iwaszkiewicza.

Na uroczystości przybyli: członkowie Rady Państwa i Rządu, przedstawiciele KC PZPR, członkowie Prezydium Polskiego Komitetu Obronców Pokoju, organizacje społecznych oraz przedstawiciele świata literackiego i artystycznego stolicy.

Po zagajeniu uroczystości przez prezesa ZLP — Leona Kruczkowskiego, min. Kultury i Sztuki Wł. Sokolski udekorował Jarosława Iwaszkiewicza Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, przyznanyemu Jubilatowi przez Radę Państwa w uznaniu jego zasług jako pisarza, poety i działacza na polu obrony pokoju.

List od Prezesa Rady Ministrów Bolesława Bieruta z życzeniami dla Jubilata, nadesłany wraz z wiązką kwiatów — odczytał L. Kruczkowski. Przemówienie poświęcone twórczości Jarosława Iwaszkiewicza wygłosiła Maria Dąbrowska.

W imieniu PKOP przemówił poseł Ostap Dłuski, który zwrócił uwagę na zasługi położone przez Jarosława Iwaszkiewicza w walce o pokój. Mówca podkreślił, że sprawa polskiego i międzynarodowego ruchu obrońców pokoju pisarz oddał swój talent i serce.

Zygmunt Mycielski przekazał Jubilatowi — głęboko i od dawna związanemu z muzyką — serdeczne życzenia od kompozytorów polskich.

Spośród wielu depesz, które nadeszły z okazji jubileuszu, odczytano depesze od Zw. Pisarzy Radzieckich, sekretarza Światowej Rady Pokoju L. Iłłie'a, przewodniczącego Izdejskiego KOP Tichonowa, marszałka Seimu PRL prof. J. Dembowskiego, pisarzy czeskosłowackich, pisarzy z NRD i innych.

Za życzenia w gorących słowach podziękował Jubilat.

Na zakończenie uroczystości artysty scen warszawskich Z. Maliniec i J. Kreczmar odczytali fragmenty poezji oraz szereg utworów poetyckich Jarosława Iwaszkiewicza.

Również 20 lutego br. odbyła się w Moskwie uroczysta akademii zorganizowana przez Radziecki Komitet Obrony Pokoju, Zw. Pisarzy Radzieckich i Słowiński Komitet w ZSRR z okazji 60 rocznicy urodzin Jarosława Iwaszkiewicza.

Na akademii obecni byli liczni pisarze i artyści radzieccy oraz studenci wyższych uczelni moskiewskich. Obchody był także ambasador PRL w ZSRR W. Lewikowski i wyżsi urzędnicy ambasady.

przerasta, niż gdybyśmy w owe ramy nie mieli zgola co włożyć.

Nie neguję istnienia przełomów, na odwrót, sądzę, że każdy żywy człowiek łamie się wiele razy w życiu ze sobą i ze światem. I że to, co się stało od 1939 roku mogło wywołać przełom, a musiało wywołać niebawem przeobrazenia w każdym świadku bytu uczestniku wstrząsających wydarzeń. Przełomy były różne, rozmaite miały kierunki i rezultaty. Ale psychologia radykalnych przełomów ducha ludzkiego to sprawa wcale nie prosta, przeciwnie trudna i zawila. Nie podejmuję się jej omawiać, chcę mówić o rzeczach dla mnie łatwiejszych, o konkretnych faktach literackiego życia Jarosława. Chcę iść w tym za samym Iwaszkiewiczem, który parę razy w ciągu tego dziesięciolecia błagalnie prawie zwracał uwagę krytyki na rozwój swojej raczej niż na przełom zakładający jakieś wyparcie się dawnego siebie. Przytoczę tylko to, co w tej kwestii mówi o sobie we wspomnianej wypowiedzi z „Nowej Kultury”. „Kochani — powiada — ja wcale nie kończyłem i nie poturbuję zaczynać, ja kontynuuję”.

Rozwój twórczego człowieka, każdego zresztą żywego człowieka, odrzucanie w wyniku tego rozwoju pewnych form i pewnych treści wypowiedzianych się czy działania, nabywanie coraz pełniejszej zdolności do dobrego rozróżniania, coraz trafniejszego poznawania siebie i świata, wydaje mi się rzeczą naturalną, zrozumiałą i wystarczającą dla wskazania na płodne wpływy czasu i dokonujących się przemian, przez które, oczywiście, każdy rozwój jest uwarunkowany. Tak jak jest uwarunkowana i przez pewne cechy osobowości, która jednak istnieje, tak samo realna, jak wszystkie inne realia. W rozwoju człowieka cenna jest mądrość, pogoda i znaleziona droga wieku męskiego czy starszego, ale równie cenne bywają i poszukiwanie ścieżki niepogodnej młodości.

Tak myśląc, chciałabym tu wskazać na integralność zjawiska Iwaszkiewicza. I nie ocalać go ani bronić, bo on sam się swoim dziełem ocali i obroni, ale wyrazić liryczne współczucie i z tym Iwaszkiewiczem, którego się dziś dosyć surowo sądzi. Powiada się, że w dawnym wierszach Iwaszkiewicza jest egotyzm, strach przed życiem, smutek, melancholia i śmierć. Jeden z krytyków orzekł nawet, że poezja Iwaszkiewicza jest jedyną, która „tak wiele pięknych strof poświęca śmierci człowieka”. W czym się chyba omylił, bo co najmniej tyle, jeśli nie więcej strof poświęcił śmierci Julian Tuwim. Ale dlaczegoż to mamy wyklinać z literatury i poezji żal, żal, melancholię, strach, samotność i śmierć? To są rzeczy, które istniały, istnieją i będą istnieć realnie, to są także rzeczywiste elementy życia ludzkiego. Literatura, która by nie zawierała tych elementów, byłaby literaturą amputowaną. Tak jak człowiek, co by utrzymywał, że nigdy nie boi się wielkim strachem, że nigdy nie czuje się smutny i samotny a nawet zapracowany tak, że „gwiazdy chciałby wstrząsać swą rozpaczą”, że nigdy nie jest napastowany przez widma śmierci, że nigdy nie woła „sam bowiem nie wiem kim jestem”, że nigdy nie zadziła przed zbłądną czy niebadaną, ale niewątpliwie ogromną i „śmiertelnie kuszącą zagadką wszechbytu”, albo miła się z prawdą, albo nie jest pełnym żywym człowiekiem. Człowiek to istota złożona i wielowymiarowa. Spójrzcie, moi złoci, na aparycję naszego jublata. Trzy wymiary posiada jak się patrzy, a czwarty wymiar, wielki wymiar czulej poezji

nosi w sercu. Smutne, a nawet beznadziejne uczucia, które Iwaszkiewicz wyrażał niedys, bywają bardzo właściwe młodości, która jest epoką nie syntez i harmonii lecz kontrastów i dysonansów, i która im bardziej kocha życie, tym boleśniej odczuwa to wszystko, co mu zagraża, co paczy i odbiera ma sens. I czemuż egotyczne cierpienia młodego Wertera miałyby być godniejsze trwałe sławy literackiej niż smutki młodego Jarosława? To zresztą, że Iwaszkiewicz znalazł radość życia i wiarę w jego wartość i sens w naszym teraźniejszym czasie, dostatecznie wyjaśnia i usprawiedliwia, że mógł, że może musiał być smutny i samotny w innym czasie. Może na jego dobro przemawia, że był inelancholijny w okresie, gdy inni zachowywali się po prostu radością życia i weselnością złudzeń. A choć ja i tamtych rozumiem i miejsce im daję w moich wspomnieniach wdzięcznego, zachwyconego czytelnika, przecież chętnie podkreślam, że gdy im — cytuję niedostojnie jednego z znakomitszych skamandrytów — „świat przeciekał przez usta sokiem pomarańczy”, Iwaszkiewicz pisał: „świat ogromny, świat szeroki posoką w ustach moich chłusta”. Nie konieczne trzeba było być wówczas pisarzem politykiem, aby czuć cierpienie ludzkiego świata, choć go się nie wyrażało realistycznie i bezpośrednio.

Nie konieczne też trzeba pisać radośnie i optymistycznie, albo realistycznie i krytycznie, aby pomagać ludziom, dawać im swoją sztukę płodną, ożywcze bodźce życia. Tym właśnie smutek artystyczny różni się od pesymizmu trywialnego, od zwykłego narzekania i biadolenia, że zawiera w sobie to, co Grecy nazywali „katharsis”, pierwiastek oczyszczający i wyzwalaający nas ku radości z najbardziej beznadziejnych przeżyć. Zyskana w artystycznym wzruszeniu świadomość, że poeta tak samo jak my cierpi, bywa smutny, samotny i zwątpiały, nie pograża nas głębiej w smutek, samotność czy zwątpienie; przeciwnie, daje nam natchnienie do życia mimo wszystko, do przetwarzania tych stanów, a nawet ich pokonania. Załość płynąca z żalonych utworów literatury nie jest uczuciem deprymującym ani obezwładniającym.

Zacytuje tu ostatnią zwrotkę z VII wiersza ślicznego cyklu „Warkoczek jesieni”.

Aż do rana w zimnym łóżku
naobracam się dowoli,
jutro znów Podkowa, Pruszków,
Nowogrodzka. Ach, to boli!

Ta uboga żałostna zwrotka okazała się dzwienne komunikatywna; kilkoro ludzi cytowało mi ją w rozmowach albo w listach. Ta zwrotka powstała w dzisiejszej dobie, a przecież chociaż nie wyraża radości z codziennego dojazdu do wspaniale się odbudowującej i budującej stolicy, jakże silnie ludzie na nią odziewali. Ach, więc takie rzeczy odziewa razem z nami sławny poeta. Co za kompania! Co za pokrzepiająca ulga! Pomyślał może niejedną z wielu tysięcy pracowników przemierzających tę trasę lub jej podobną marzącą czasu tej srożej zimy.

Zacytowana zwrotka mówi nam jeszcze o jednej rzeczy. Ze w rozwoju duchowym Iwaszkiewicza — liryka nie ma gwałtownych skoków. Rozszerzyła się tematyka jego wierszy, zabrzmiła w niej mocno ton miłości do człowieka, wiary w życie i nadziei na lepszą przyszłość świata, i to zawiadza Jarosław naszym nowym czasem. Ale nic nie rodzi się z niczego. Miłość do życia i człowieka, choć pod inną postacią, była i

w dawnym, najbardziej nawet melancholijnych i samotniczych wierszach Iwaszkiewicza, skoro i takie „młotne sprawy życia uznał za godne „ocalić od zapomnienia”, mówiąc jakże prostymi, a już nieśmiałymi słowami Gałczyńskiego. Miłość do życia przemawia różnymi językami, nie zawsze musi słać burze walk czy blaski zwycięstwa, Czymże byłaby burza wiecznie trwająca? Męką nie do zniesienia. Czemże byłoby słońce bez cieniów nocy? Udręką nadmiaru światła.

Także w formach poezji Iwaszkiewicza jest piękny rozwój, ale nie ma skoku który by odciął jego dawną osobowość od dzisiejszej i tę dawną unicestwiał. Środki wyrazu Iwaszkiewicza nie są i nie były nigdy monotonne. I w dawnym, i w nowych wierszach występuje zarówno prośłota jak i kunsztowność. Prosta cechuje często najbardziej kameralne i, jakby powiedzieć, hermetyczne z jego utworów, a kunsztowność pojawia się w najostatniejszych, pod bardzo szeregami adresem czytelniczym pisanym. Weźmy choćby tak często dziś cytowany wiersz „Westchnienie”, w którego pierwszej strofie murarz z cegłą w dłoni, na niebo patrząc niesmiertelne” goni wzrokiem: „rozwiązaną srebrnoblą chmurkę, lecącą niebem morza córke”. Pobrzmiewa to niemal pseudoklasycyzm osiemnastowiecznej literatury, ale kunsztowność użytej tu metafory z dobrej wywodzi się trudniej.

Rozwój twórczy Iwaszkiewicza gwałtowniej, ostrzej zaakcentował się w jego prozie, a co najciekawsze, nie powstrzymało jego rozwoju i czarna noc naszych dziejów. Wszystkie książki prozy Iwaszkiewicza, dotąd po wojnie wydane — a są to jego książki najlepsze — napisane zostały w czasie okupacji; pamiętam te utwory czytany bądź przez autora, bądź przez artystę teatru na przyjacielskich zebraniach i w prywatnych mieszkaniach przy karkidowce i oknach zasłoniętych ponurym czarnym papierem. Młodzieńcza, a nawet co najmniej późniejsza proza Iwaszkiewicza była istotnie bardzo stylizowana i mocno w guście, aby zczepnąć porównania z innej dziedziny sztuki, prerafaello — secesyjnym. Ale i te utwory zniewały szczególnym urokiem poetyckim. Ale nawet pierwsze temki prozy miały miejsca i strony zapowiadające znakomitą pisarza i świetnego plastyka jeśli nie jakichś całokształtów życia, to jego szczegółów.

Dzisiejszy Iwaszkiewicz nie tylko rozszerzył, a nawet zmienił tematykę swej prozy, ale nie urońwiłszy nie ze szczególnego czaru, który owiewa jego utwory, zyskał w nich na prostocie, sile i prawdzie wyrazu. O sile twórczej Iwaszkiewicza świadczy zresztą i to, że pisał on i tworzył w czasie okupacji, na co nie każdego z nas było stać; mówi o niej także i dzisiejsza jego postawa, i to, czym Iwaszkiewicz gorąco chyba nad wszystkimi naszymi pisarzami — różnorodność jego talentów i umiejętności. Uprawia on z jednakim powodzeniem poezję, powieść i nowelę — rodzaj, którego w polskiej literaturze najdoskonalszym jest mistrzem — uprawia krasomówstwo okolicznościowe, zna się na muzyce i pisuje studia z tej dziedziny, jest wybitnym autorem dramatycznym. Nadto we wszystkich tych rodzajach z równą łatwością porusza tematy polskie jak międzynarodowe. Wyznaje, że mnie, w ograniczonosci moich własnych uzdolnień, obfitość jego talentów bardzo imponuje.

Może pomyślisz, miły panie Jarosławie, że Ci pochiebam, nie wspominając o tych nawet zaszczytach, które sam wysuszał, mówiąc o swej drodze pisarskiej. Ale nie miałam jakoś dotąd nigdy sposobności ni słowa publicznie ani prywatnie mówić ci o tobie i twych utworach. Korzystam z okazji, by powiedzieć sercem zwykłego czytelnika, co myślę o nich najlepszego. A dzień dzisiejszy nie nadaje się do wyrażania zastrzeżeń czy wątpliwości. Jeśli zaś one kiedykolwiek, słuszne czy niesłuszne z czyjejkolwiek strony wystąpią, to patrzaj na twoją wspaniałą postać myślę, że odzwigniesz jeszcze wiele i kłęk, których ci nie życzy mi i tryumfów, krytyk i pochwał, zmartwień, które nikogo nie omijają, i radości. Zżyj długo, bądź za przykładem Leopolda Staffa, wiecznie młody, pisz coraz piękniej, doczekaj wydania wszystkich swoich utworów. I miej nadal twoje dwie cnoty „cierpliwość i upór”, bo to są istotne cnoty prawdziwego pisarza.

Maria Dąbrowska

Leon Kruczkowski

Chciałoby się dzisiaj bez żadnych „oficjalności”, nie „przewodniczyć” i nie „zagajać”, chciałoby się, aby jubileuszowy wieczór Jarosława Iwaszkiewicza nie był tylko jednym z naszych niezliczonych „zebrań” w Domu Literatury. Wprawdzie o niezwykłości tego zebrania świadczy szczęśliwie obecność wielu miłych i znakomych gości, których w imieniu pisarzy najserdeczniej witam. Ale — prócz gości — widzicie tutaj, Koleżanki i Koledzy, wszystkie wiadome Wam oznaki zwykłych naszych „zebrań”: siedzi oto prezydium, leży na stole „porządek dzienny” i zapowiadany jest „referat”, co prawda Marii Dąbrowskiej, ale bądź co bądź — „referat”... A on sam, Iwaszkiewicz? On sam siedzi tu, jak widzicie, w stroju „protokółarnym”, w swoim słynnym czarnym ubraniu „wyrażnie za ciasnym”, zwłaszcza „z lewej strony” — prawdziwy przewodniczący... Słowem, Kolegom skłonny do popłochu zdawać się może, że odbędziemy dziś w tej sali jeszcze jedno, któreś tam z rzędu „posiedzenie”...

Otóż nie, moi drodzy! Nie i nie. Nie wiercie w ten „porządek dzienny”, widnieje na nim w rzeczywistości tylko jedno słowo: Iwaszkiewicz. Nie wierzcie również, daruję mi pani Maria, w ten „referat”: na pewno będzie to raczej kawałek bardzo dobrej prozy, rzecz rozumna i piękna, a przytem niezbyt długa — gdyż na tym przecież polega nasza sztuka pisarska: duże zjawisko zmieścić całe w niewielu słowach. I nie wiercie nawet w to „prezydium”: siedzą tu po prostu przyjaciele.

Cóż więc zostało z wszystkich pozorów „oficjalności”? Jedno tylko: czarny ubiór Iwaszkiewicza. I o tym chciałbym kilka słów powiedzieć. On sam bowiem, Jarosław, w swojej niedawnej wypowiedzi publicznej o „dziesięcioleciu” wskazał na symboliczny po-niekąd sens stroju, w jakim go tu dziś widzimy. Że to niby pisarzu Iwaszkiewicz od kilku lat zmienił się w Iwaszkiewicza — przewodniczącego wielu komitetów, zarządów i rad... I że zarazem — przestano go drukować, a nawet nie jest pewne, czy nie przestano go czytać...

Wybacz mi, Jarosławie, ale chciałabym nieco skorygować to, co napisałeś w „Nowej Kulturze” o swoim ostatnim dziesięcioleciu, najmłodszym z tych sześciu, które zamkasz w dniu dzisiejszym. Po pierwsze: jestem pewny, że w ciągu tych właśnie lat ostatnich Twoje słowa, czyli Twoje myśli, docierały do wielokrotnie-większej rze-

Kronika Tygodnia

Szczęśliwi, którzy oglądali Zelwerowicza w dniu jego jubileuszu. Młodzi opowiedzą kiedyś o tym wieczorze swoim dzieciom, podobnie jak nam ojcowie opowiadali o grze Kamińskiego czy Frenkla. Bo i cóż z tego, że istnieją dziś na świecie takie narzędzia dokumentacji jak film i taśma dźwiękowa, a teatrolgia zyskała sobie prawo obywatelstwa wśród nauk niemal ścisłych... Twórczość wielkich aktorów ciągle jeszcze przepada u nas bezpowrotnie, zostaje z niej tylko to, co prymitywnym ewangelicznym sposobem przekazano z ust do ust.

Powieć może, że przesadzam. „Grzech” bowiem doczekał się ekranizacji, a w archiwach radia znajduje się niejedna szpula z głosem Zelwera. A jednak... Co wie choćby mój rocznik (1925) o sześćdziesięcioletnim dorobku twórczym tego wspaniałego aktora? A kursanci szkół teatralnych, rozkochani w swoim mistrzu, ileż znają kreacji z jego przebogatej galerii... Większość — tylko te ostatnia, Jaskrowicza z „Grzechu”...

To przecież nie przypadek, że w jubileuszowym numerze „Teatru” nie ukazał się ani jeden artykuł, który by się pokusił choćby tylko o naszkicowanie sylwetki twórczej artysty... Poprzesztano na wykazie ról przezeń zagranych i na kilku wspomnieniach. Nie mam żalu do pisma „Teatru”, bo i z czego miałby młody Treugutt (a nawet starszy od niego Peiper) czerpać materiał do takiego szkicu... Radio? Niewiele się z tego uchowało. Film? Owszem, grywali nasi wielcy, ale w smętnych kiczach (litych nie kręconych), nie dających najmniejszego wyobrażenia o ich prawdziwej sztuce. No a recenzje? A fachowa krytyka? Tutaj rozczarowanie jest może najbar-

dzie dotkliwie. Zakorzenił się od dziesiątków lat w naszej krytyce teatralnej, nawet tej na najwyższym poziomie literackim, straszny zwyczaj kwitowania pracy aktorskiej zdawkowymi, nic nie mówiącymi przymiotnikami.

I pomyśleć, że kiedy przyjdzie człowiekowi ochota obejrzeć słynne mechatowskie przedstawienie „Na dnie” z Knipper - Czechową i Kaczalową, może je każdej chwili zobaczyć na ekranie... Zapragnię człowiek wysłuchać słynnego monologu Łuki w wykonaniu wielkiego Moskwin, ma ów monolog nagrany na płytę, powieloną w dziesiątkach tysięcy sztuk. A jeśli ciekawi kogoś jak Szczukin grał Jegorą Bułczową, znajdzie sporą literaturę na ten temat w teatralnych monografiach i almanachach.

A nam co zostało z Jaracza? Co nam zostało z Osterwy? Nie widziałem żadnego z nich na scenie i żeby się dowiedzieć, jak Jaracz grał chorego z urojenia, a Osterwa Przełęckiego, muszę zaudzać Leona Schillera albo Bohdana Korzeniowskiego dwóch ludzi w Polsce, którzy to potrafili o p o w i e d z i e ć...

Z Jaracza nie zostało nam nic, ale zostało nam za to z przedwojennych czasów ten niewybaczalnie lekkomyślny stosunek do trudu aktorskiego, na skutek którego ciągle jeszcze pozwalamy umierać wielkim kreacjom i przedstawieniom. Przecież to już w naszych dniach rozspali się bezpowrotnie schillerowscy „Krakowiacy i górale”, przemienili bez śladu takie arcydzieło kunsztu aktorskiego jak Zelwerow major w „Fantazym”, a to wszystko w epoce, kiedy przykład Głzeli Piotrowskiej czy Lidii Korsak poucza nas, jak łatwo zostać nieśmiertelnym...

Krzysztof Gruszczyński

ARTUR MIĘDZYRZECKI

Ludzie i rokowania

Ileż razy i z ilu okazji można by powtórzyć zdanie, jakie napisał kiedyś Paul Vailland-Couturier:

„Ci, którzy wierzą w wojnę, nieuchronnie noszą tę wojnę w sobie”.

Kiedy w Ameryce i w Europie zachodniej rozbudowany sztab atlantyckich psychologów rozpętywał kampanię nienawiści i hysterii wojennej, kiedy oficjalna prasa zachodnich metropolii rozpoczęła szczególnie intensywnie rozważać perspektywę nowego pochodu na wschód, kiedy w czasopiśmie „Colliers” ukazała się ilustrowana mapami wizja atomowej agresji — wszystko to nie było ani literacką fikcją, ani towarzyską zabawą, ani abstrakcyjnym filozofowaniem. Świadomie i celowo przygotowywano atmosferę wielkiego zbrojnego konfliktu. Każdy łont podłożony przez złoćczyńce wysadził mógł w powietrze tysiąc miast. Każde tłąc się ognisku zmieniło się mogło w pożar ogarniający pięć kontynentów.

Byli jednak i ci, którzy wierzą w pokój i nieuchronnie pokój ten w sobie noszą. Metalowcy francuscy, włoscy chłopcy z Kalabrii i tkacze z Manchesteru, podający dlonie górnikom Donbasu i budowniczym Warszawy. A także wszyscy inni, którzy w imię miłości ludzkiej albo miłości boskiej — wierzą w pokój na ziemi i w dobrą przyszłość narodów. Miliony ludzi podpisywały więc Apel Sztokholmski, protestowały przeciw wysięgowi zbrojeń, domagały się rokowań i porozumienia. Dzięki nim społeczeństwa świata poznać mogły i poprzeć radzieckie propozycje pokoju, zmusić do położenia kresu wojnie w Korei, za-

żądać trwałego odprężenia w stosunkach międzynarodowych. Dzięki nim również ta surowa zima stała się czasem dobrej nadziei.

Codziennie, przez przeszło trzy tygodnie słuchaliśmy wieści z Berlina. Czytaliśmy komunikat końcowy o konferencji genewskiej z udziałem Chin Ludowych. Zapoznaliśmy się również i zapoznaliśmy się nadal z komentarzami prasy różnych krajów, poświęconymi konferencji berlińskiej i dalszym międzynarodowym perspektywom. We wszystkich tych publikacjach, rola opinii publicznej i powszechna wola odprężenia i negocjacji występowała jako czynnik zasadniczej wagi. Dla jednych przecież jest to powodem do ufności, dla innych — przyczyną poważnego zmartwienia. Redakcja pisma „Colliers” nie ośmieli się wprowadzić zamieścić nowych map atomowej ekspansji: nie tylko dlatego, że bomba H przestała być amerykańskim monopolem, ale dlatego również, że fala wywołanego oburzenia mogłaby zatopić nie jeden gabinet atlantyckich specjalistów od zimnej wojny. Ci, którzy noszą w sobie wojnę, głoszą więc dzisiaj — sceptycyzm. Zapowiadali zerwanie konferencji berlińskiej, zapowiadają niepowodzenie konferencji genewskiej, są jedynymi, którzy z przebiegu rozmów w Berlinie wysnuli wniosek, że układ o „armii europejskiej” powinien być... tym szybciej ratyfikowany.

Są to jednak rachuby wynikające z pragnień coraz bardziej oderwanych od życia i z kalkulacji nie liczących się z rzeczywistością. Francuzi nie pozwolili wzmóc sobie, że Bidault był „wielkim mężem konferencji berlińskiej” i za-

racam z dalekiej, szybko odbytej podróży do Lyonu, do Grenoble, do Alpy, do Saint-Etienne. Tu byłem zaproszony przez Stowarzyszenie Generalne Studentów, tam przez studentów przebywających w sanatorium, ówczdzie przez pewną organizację kulturalną. Tu mówiłem o Balzaku, tam o komunizmie. To, co mówiłem i słyszałem, potwierdziło w pełni moją opinię... o przyszłych niemieckich wyborach, o których politycy zachodni głoszą, że mają być „wolne”.

Mówiłem tym studentom o strukturalizmie społeczeństwa, o kryzysie, o bezrobociu, o wojnie, o zarobkach we Francji (60% tych zarobków nie przekracza 25.000 franków, a wszyscy oni dobrze wiedzieli, że jest to cyfra nader mierna). Zadawali mi kłopotliwe w ich mniemaniu pytania dotyczące rzekomej „dezercji” Mauricea Thoreza w 1940 roku, jego „opancerzonego” samochodu, majątków, które podobno posiada jeden z przywódców Francuskiej Partii Komunistycznej, zajmujący w rzeczywistości dwa skromnie umeblowane pokoje na przedmiesiu Paryża, no i oczywiście, dotyczące tak zwanej „wolniści”. O pokoju i wojnie, o zarobkach i fortunach, o wzrastającej produkcji przemysłowej krajów demokracji ludowej i symptomatach kryzysu w Stanach Zjednoczonych, o sprzecznościach świata kapitalistycznego i harmonii świata socjalistycznego — ani słowa.

Ich analfabetyzm polityczny — niemniej przerażający niestety niż taki sam analfabetyzm wielu pisarzy burżuazyjnych — tłumaczy się bardzo zwyczajnie wpojonym im

aksjomatem: ludzie nie potrafia zmienić porządku świata; wszystko jest właściwie z góry przesądzone; chodzi tylko o to, aby każdy jak najwygodniej się urządził w tym z góry danym świecie. Pewność, że „nic się i tak na to nie poradzi”, że ci, co chcą obalić istniejący porządek społeczny, to utopiści, jeśli nie sprzedawczyki, podświadoma wiara w to, że ten świat kapitalistyczny taki już został stworzony przez Przedwiecznego, który w dniu Sądu Ostatecznego potrafi oddzielić dobre spoki akcyjne od złych i jedne wprowadzić do nieba, a drugie strącić do piekieł — te oto wierzenia warunkują taką a nie inną postawę tych studentów, jak i większości innych odłamków burżuazji. Gdybym przemawiał przed zgromadzeniem „konsjerżek”, pytania niewątpliwie byłyby na równie wysokim poziomie, bowiem ta „święta naiwność synów Bożych”, o której mówił Alfred de Vigny, tkwi właśnie w niewiedzy i zaślepieniu.

I jakżeby inaczej być mogło? Obskurantyzm kapitalistyczny jest bliźniaczko podobny do poprzedzającego go w rozwoju historycznym obskurantyzmu religijnego. Nie tylko prawdę o tym, jak powstają wojny i jak rodzą się wielkie fortune, chciałyby na ukryć przed światem, nie tylko prawdę o Związku Radzieckim i socjalizmie chciałyby zakłamać. Przeglądałem ostatnio parę podręczników szkolnych. Otóż uczniom szkół powszechnych opowiada się, że jeden z wodzów markońskich „stał się wielkim przyjacielem Francji” po zwiedzeniu targów w Fezie, gdzie okazał baczność wprost radość z powodu umocnienia mu... przejażdżki na karuzeli. I jak tu żądać, żeby na takich podręcznikach wychowywane

dzieci mogły później potępić kolonializm? Inny podręcznik, dla uczniów szkół średnich, tym razem w panegirycznym stylu opiewa politykę amerykańską i kłamie, bezzelnie kłamie na każdym kroku, wpajając w naszą młodzież pogardę dla własnej ojczyzny. Hasłem obskurantyzmu pozostają nadal słowa, które w procesie wytoczonym Zoli podczas sprawy Dreyfusa powtarzał uparcie przewodniczący trybunału: „To pytanie w ogóle nie będzie stawiane”. Nic to, że Marks wytyczył drogę, na którą wstąpiła już połowa świata, na naszych uczelniach „liczy się” on akurat tyle samo co Galileusz przed Trybunałem Świętej Inkwizycji. Cóż w tym dziwnego, skoro się pamięta, że nauczanie larwinizmu jest karane prawem w kilku ze stanów zjednoczonych, które oskarżają Joliot Curie i Ilję Erenburga o to, że są bezduśnymi robotami.

Ale niesposób przecież myśleć o leczeniu, skoro się nie wie, że organizm jest zatruty. A kapitalizm bardzo umiejętnie i systematycznie zatruwa młode organizmy. Przy okazji w owym sanatorium siedziałem pomiędzy kierowniczką laboratorium a jakimś młodym lekarzem. Po zjedzeniu zupy, w oczekiwanu na rybę, moja sąsiadka zagadnęła sąsiada-lekarsza: „Proszę pana, zdaje się, że gdzieś w tych dnach miała się odbyć ta ich konferencja w Berlinie? — Tak — odpowiedział tamten, z niemielszymi rzetargnieniem — właśnie się zaczęła”. Po czym zaczęto mówić o czym innym.

Ostatnio w jednym z większych gimnazjów Paryża profesor filozofii zapytany swe uczennice, jakie rubryki czytają w gazetach, co mu się ci, ale i także, co już mu się mniej chwali, jakie gazety czytają? Wiele tych osiemnastoletnich gimnazjalistek odpowiedziało, że w ogóle nie czytają żadnej prasy, co w najlepszym wypadku oznacza, że cała ich wiedza o świecie pochodzi z rozmów przy stole w domu rodzinnym czy też z głośnika rządowego radia. Spośród tych, które prasę czytają, kilkanaście oświadczyło wręcz, że interesują się tylko rubryką wypadków: kradzieże, zabójstwa, krwawe dramaty miłosne. Co do tych zaś, które miały na tyle rozsądku, by czytać prasę społeczną i na tyle odwagi, aby w tych czasach śmierzdzących maccartyzmem przyznać się do tego, które przyznawały w dodatku, że nie jest im obojętna „polityka”, czyli przyszłość człowieka i los ich ojczyzny — to należały one do znikomej mniejszości.

Najgroźniejsze w tym wszystkim jest to, że w oczach swych koleżanek uchodziły one z pewnością za pocieszne idiotki — bo to przecież i tak nie się na to nie poradzi... Ale byłbym zbyt nieprawdliwy, zbyt surowy. Czy to wina młodzieży, że tak już ją urobiono? Trzeba — jak stale i uparcie powtarza Maurice Thorez — wyjaśnić i „tłumaczyć”, a jeżeli komunizm nie będą im otwierał oczu na pewne sprawy, to ktoś się tym zajmie? Trzeba zaufać uczciwości, jaka tkwi w tej młodzieży.

Pamiętam, że jeden z nich, wysłuchawszy mnie z chwałebną uwagą, zadał pytanie, które wzbudziło burzę śmiechu na sali: „Widzę, jak to się dzieje — spytał — że nie wszyscy są komunistami?” Drugi odpowiedział z goryczą w głosie, jakos tak dziwnie, że, zgodnie z tym co mówiłem, zdawałoby się, iż nie-komunista nie może być uczciwym człowiekiem.

Temu odpowiedziałem, że się myli, że wcale tak nie myśle, ale że ta jego wypowiedź jest jakimś głosem sumienia; tamtemu, że zadał bardzo niegłupie pytanie, jako że człowiek jest zwierciem obdarzonym rozumem, a komuniści mają niechybnie słusność. Powiedziałem mu też, że kiedy sam sobie potrafi na pytanie odpowiedzieć — nie daleki będzie sam od komunizmu. Pamiętam także i tego młodego człowieka, który odpowiadając mi później do miasta i mówił: „Widział pan, jakie oni zadawali pytania? Czyż oni nie rozumieją, że ten ich świat kończy się bezpowrotnie?”

W ten sposób młodzież dochodzi z trudem do zrozumienia pewnych prawd naturalistycznych — ale na razie ileż w tych głowach kłopotliwiane-

go zamętu, ileż inspirowanej niewiedzy.

Tak właśnie przedstawia się... problem tych wyborów, o których w języku atlantyckim mówi się, że mają być „wolne”. Wezmę te moje gimnazjalistki, tych moich studentów. Każde z nich z osobna wypowie się przeciwko remilitaryzacji Niemiec, przeciwko wojnie. Dopuszczymy ich do głosowania: obrymnią większością głosów wybiorą tych, którzy są za remilitaryzacją Niemiec, za wojną. (Mówię — ołbrzymią większością głosów — bo chociaż 3 Francuzów na 10 głosuje na listy komunistyczne, proporcje się zmieniają w rodzinach, których dzieci kształcą się do 20 roku życia. W państwie burżuazyjnym trzeba mieć na to dość zamożnych rodziców: w Paryżu tylko 2% studentów uniwersytetu, 2% studentów Politechniki pochodzi z środowiska robotniczego). Tajemnica „wolnych wyborów” jest nader prosta w kraju, gdzie pieniądź częściej radem, prasą, policją. Nie ulega na przykład wątpliwości, że wyborcy francuscy nigdy nie głosowali za tym, aby terytorium państwa było okupowane przez obcą wojską, aby wojna w Indochinach ciągnęła się bez nadziei i bez końca, aby się ukstałował tak jak obecnie stosunek pomiędzy cenami a placami. Ale po pierwsze, wyborcy sami nie wierzą, że uda im się wpłynąć na bieg wydarzeń; po drugie, nigdy żadne proste pytanie nie będzie przed nimi w prosty sposób postawione; po trzecie, ordynację wyborczą można zawsze tak „opracować”, żeby służyła ona interesom tych, którzy ją narzucają.

Niewiedza, szalbierstwo... Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby wybór Prezydenta Republiki pozostawił sześciolatniemu dziecku, to Dziadek-Mróż miałby największe szanse. Nie jest więc chyba antydemokratycznym żądaniem, aby wyborcy osiągnęli najpierw wiek rozsądku i posiadali nie tylko wolność wyboru, ale także pełną świadomość polityczną umożliwiającą im właśnie wolny wybór. Sprawa tym poważniejsza, że z tych „wolnych” urn może wyskoczyć nagle Dziadek-Mróż z czupurną grywką i małym amerykańskim waskiem, o skrzekliwym głosie i oczach jak talerzyk, żywiący niebezpieczne upodobania do mydełek z ludzkiego tłuszczu...

Niestety, ignoranci rzadko kiedy zdają sobie ze swej ignorancji sprawę! Nasz Montaigne mawiał: „Wiem, że nic nie wiem”. Dawadło to dużej mądrości. Podobnie jeden z moich przyjaciół, mój stanu Trzeciej Republiki, liberal ucziwy i światły, powiedział mi kiedyś: „Z pewnością wy macie rację, bo ja, człowiek przeciw wykształcony, bądź co bądź należący do kierowniczych kół tego kraju, nie mam najmniejszego pojęcia o marksizmie. Nie ukrywamoby go przede mną tak skrzętnie, gdyby nie był niebezpieczny”.

Trudno by się po młodych ludziach spodziewać takiej mądrości. A jednak ci moi studenci pisują do mnie: „Po pańskim wyjeździe długom dyskusowali...”, a kiedy ich znów spotykam, w Grenoble czy w Lyonie, ogień dyskusji rozpala się na nowo. A jestem prawie przekonany, że jeszcze parę lat temu w ogóle nie chcieliby mnie słuchać. Cóż się więc stało?

Stato się to mianowicie, że chociaż niki nie głosował za remilitaryzacją Niemiec, to jednak grozi nam, iż wkrótce możemy znów ujrzeć we Francji wojska nazistowskie. Moi studenci pamiętają z lat dziecięcych defilady Wehrmachtu przez ulice ich miast i wsi rodzinnych...

Stato się to mianowicie, że chociaż żadne „wolne” wybory jeszcze nie zdecydowały o zastąpieniu laborantów francuskich przez baterie obrony przeciwlotniczej, państwo nie może przeznaczać dochodu narodowego jednocześnie na cele wojenne i pokojowe. Po ciaga to za sobą stale pogarszanie się sytuacji materialnej coraz to większej ilości Francuzów i moi studenci zmuszeni są żądać dla swych profesorów, dla swych uniwersytetów, dla siebie samych wreszcie — nowych kredytów... których się im z reguły odmawia. Jeśli manifestują przeciwko temu, negroźnie, na pół po dzieciennemu, policja traktuje ich w sposób tak bezprzekładnie brutalny, że wszystkie partie polityczne — rzecz wyjątkowa — potępią zgodnie ministra spraw wewnętrznych... który mimo to nadal sprawuje swoje funkcje. A kredyty na oświatę i kulturę nadal się zmniejszają.

Dzieje się to mianowicie: wolność to zrozumienie konieczności. Ale nawet nieświadomość praw rządzących społeczeństwem kapitalistycznym, nawet naiwna wiara w wieczność tych praw nie przeszkadza im w działaniu — a doświadczenie jest dobitnym doradcą: jeszcze lepiej potrafi świat wyjaśnić niż ja potrafiłem...

Oto dlaczego, mimo kapitalistycznego obskurantyzmu i, mimo że pytania ich są jeszcze tak żałosne — studenci słuchają mnie. Oto dlaczego należy zaufać francuskiej młodzieży akademickiej. Oto dlaczego należy z uporem tłumaczyć, tłumaczyć, i jeszcze raz tłumaczyć otaczający świat studentom francuskim... i „wolnym” wyborcom niemieckim.

André Wurmser

Nowości

James Aldridge

DYPLOMAT

Sensacyjna powieść utalentowanego pisarza ukazująca kulisy brytyjskiej polityki zagranicznej. Żywa i nie zmiernie pasjonująca akcja toczy się kolejno w Moskwie, Iranie i Londynie. T. I Lord Essex. Str. 340. Ciepło 21 26.

T. II MacGregor. Str. 500. Opr. w pit. 21 42.

Jorge Amado

PODZIEMIA WOLNOŚCI

Nowa powieść laureata Stalinowskiej Nagrody Pokoju przynosi nakreślony z wielkim rozmachem i żywymi barwami obraz społeczeństwa brazyjskiego w latach 1937-1940. T. I. Str. 628. T. II. Str. 380. Ciepło 21 41.

Honoriusz Balzac

SZUANIĘ CYKLI BREITANIA

W ROKU 1799

Powieść historyczna osnuta na dziejach walki Republiki Francuskiej z kontrewolucyjnymi ruchami w Bretanii. Str. 322. Ciepło 21 14.

Dyson Carter

NASZE JEST JUTRO

Sensacyjna powieść ukazująca kulisy wielkiej afery szpiegowskiej w Kanałach. Str. 296. Ciepło 21 10.

Pierre Courtade

JIMMY

Powieść poświęcona, której bohaterem jest przetrwały Amerykanin, akcja zaś rozgrywa się kolejno w Stanach Zjednoczonych w Paryżu i na Korei. Str. 304. Ciepło 21 10.

Nowości

Illa Erenburg

DZIEWIĄTA PAŁA

Z rosyjskiego tłum. Gabriela Pauser-Klonowska. Nowa wielka powieść znakomitego pisarza radzieckiego, laureata Stalinowskiej Nagrody Pokoju. Str. 588. Opr. w pit. 21 37.

Anna Seghers

BUNT RYBAKÓW

I INNE OPWIADANIA

Zebrałe w jednym tomie, najciekawsze opowiadania znakomitej współczesnej pisarki niemieckiej, laureatki Stalinowskiej Nagrody Pokoju. Str. 344. Ciepło 21 74.

Antal Stasek

OPOWIEŚĆ O SZEWCU MATEUSZU

I JEGO PRZYJACIOLACH

W tej niezwykle interesującej powieści, której akcja rozgrywa się w okresie Wiosny Ludów, Stasek kreśli dzieje wielkiego szewca, jego perypetie z wielkimi bogaczami i księdzem proboszczem, nieszczęśliwą miłość do płochej Rozki. Str. 214. Ciepło 21 10.

André Sui

PIERWSZE SZARCIE

T. II STATKI Z BRONIA

Drugim tom trylogii z życia francuskiej dokerów, której pierwszy tom „Pod wieżą ciśnień” został odznaczony Nagrodą Stalinowską. Str. 292. Opr. w pit. 21 11.

Sunao Tokunaga

CICHE GÓRY

Powieść poświęcona pisarce japońskiej, której akcja toczy się w ośrodku przemysłowym jedwabniczego w pierwszych miesiącach po kapitulacji Japonii. Str. 336. Ciepło 21 15.

Nowości

Ukazał się ciekawy zbiór wspomnień żołnierskich pt.

SŁOWA ŻOŁNIERSKIE

Wstęp J. Przymanowskiego. Str. 380. Ciepło 21 18.

NAKŁADEM

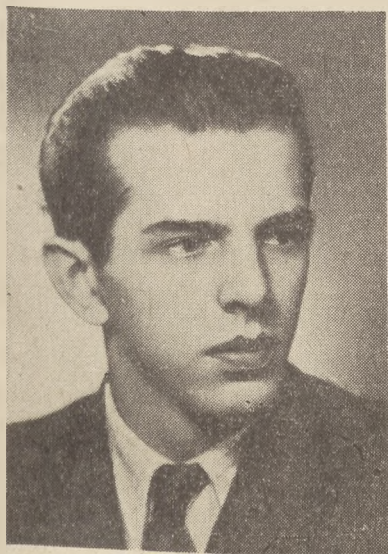
WYDAWNICTWA MINISTERSTWA

OBRONY NARODOWEJ

„CZYTELNIK”

Pisarze wobec dziesięciolecia

JERZY BROSZKIEWICZ:



W marcu 1945 zjawiałem się w redakcji „Odrodzenia” ze swymi pierwszymi opowiadaniem — i zostałem w niej... jako korektor. Przez blisko rok chodziłem jeszcze do konserwatorium z Bachem, Brahmem i Szymanowskim w teczce. Ale w końcu fortepian, z którego zrywałem się przez lat kilkanaście, musiał ustąpić zapisanym już zeszytom „Oczekiwania”, wszystkim nie zapisanym wtedy i tym nie zapisanym jeszcze dzisiaj kartkom papieru.

Kolejdy literaci jeszcze ciągle radzili grać — muzykę już radzili: pisać. Mnie trudno było rozstać się z muzyką: bliską, znajomą, wzruszającą. W końcu jednak do ostatecznego pożegnania doszło, bo dość musiało. Pisałem właśnie drugą redakcję „Oczekiwania” i od tych miesięcy literatura zatrzymała mnie przy sobie na stałe.

„Oczekiwanie” jest historią śmierci Stefana Bergmana. Mój przyjaciel Stefan, którego pamięci poświęciłem tę książkę, nosił inne nazwisko. Ale zginął tak właśnie, jak opowiadałem w „Oczekiwaniu”. Napisałem je bowiem przede wszystkim po to, by przekazać ludziom pamięć o takiej zbrodni faszyzmu, jaką była śmierć mego przyjaciela. Zacząłem pisać i pozostałem przy literaturze właśnie przez pamięć o tej śmierci, przez pamięć o zbrodniach, przez pamięć o faszyzmie i przez nienawiść do niego.

Niestety — widzę to aż nazbyt wyraźnie i jasno — za mało wówczas o nim wiedziałem. Widziałem skutki — nie odczytywałem przyczyn. Miałem, jak to niektórzy nazywają, „własny porządek filozoficzny” — nie umiałem natomiast dojrzeć w pełni, przejrzyć, przepatrzyć i przeżyć „filozoficznego porządku świata”.

Zaczynam od spraw osobistych, bo w nich właśnie szukam i może znaleźć przesłanki dla wniosków równie osobistych jak i — w moim rozumieniu — ogólnych. Wniosków z własnych, domowych doświadczeń pisarskich, szerszych jednak chyba niż półka, na której ustawiam w ciągu ostatnich kilku lat książki podpisane przez siebie.

Zdaje mi się, że każdy z nas piszących ma taką półkę. Każdy zagląda do niej, częściej lub rzadziej, z takimi czy innymi uczuciami, z większą, czy mniejszą surowością, radością lub... niechęcią. Są to chwile, kiedy samemu przeprowadza się dialogi pomiędzy prokuratorem a obrońcą, kiedy dochodzi do spotkań pomiędzy własną wiedzą o życiu i swą o nim wyobraźnią. Może wówczas zdarzyć się chwila gorącej nadości: „te oto strony zostaną!” — czasem zaś własne gorąco kiedyś pisane słowa po prostu wygasają, stają się zimne, dalekie i obce.

Po „Oczekiwaniu” ustawiłem na półce dwie książki: „Obcych ludzi” i „Opowieść olimpijską”. Pisać je myślałem o nich nie tak, jak teraz. Słowa szybko wygasły — ludzie stali się bardziej obcy niż przypuszczałem, życie obce życiu. Zrozumiałem to już w chwili korekt, w kilka miesięcy po ukończeniu książek, na długo przed momentem ustawienia ich na owej półce.

Było to w latach, w których coraz dokładniej i pełniej poznawałem ludzi, życie i kraj — jego pracę, jego historię nowoczesną i jego nowoczesną wielkość. Zegnałem się z kieszonkowym „wideniem filozoficznym”, zaczynałem pojmować i przeżywać marksizm. Pozwoliłem na wielkie słowa: uczyłem się od nowa kochać ojczyznę, tę, która rosła wokół nas, jaśniała i ogromniała. Uczyłem się jej, wrastałem w nią, jątko człowiek — a jako pisarz? Ustawiłem na półce „Opowieść olimpijską”, która działa się nigdzie i nikomu nie przekazywała nawet cząstki tego majątku, jaki właśnie zbierałem, ucząc się nowych myśli i nowych wrzrseń.

Nie była to dobra chwila ani dla człowieka, ani dla pisarza. Pamiętam ją dobrze — książkę też. Nie zaglądam do książki, choć ową chwilę wspominam.

Tak więc zacząłem pisać od nowa. Dwa tomy powieści o Chopinie nosiły tytuł „Kształt miłości”. Doszło więc do ponownego spotkania z muzyką, ze sztuką piękną i porywającą. Stuchalem jej taktów, fraz i kadencji tym razem inaczej niż dawniej — szukałem odpowiedzi na

pytanie: czego jest kształtem? Gdzie jej źródła i gdzie źródła jej wielkości? Uczyłem się raz jeszcze Chopina — i Chopin mnie uczył. Nauczył mnie wielu prawd o humanizmie i polityczności wielkiej sztuki, o jej rewolucyjności, surowości i liryczności, był mi szczególnie bliskim, cennym propagandystą i agitatorom. Piszac tę książkę równocześnie co tydzień odnosiłem do redakcji radiowej felietony „kulturalno — polityczne”. Starałem się w nich chwytac na gorąco sprawy wielkie lub małe, bliskie lub nienawistne publiczności „z połowy XX wieku” — Najlepszym z nich (pisanym przed dwoma laty), wiele pomogli też ludzie, z którymi stykałem się w wieku XIX — czytelnicy, autorzy i redaktorzy takich pism jak „Gazeta Polska”, potem „Trybuna Ludów” — i dalej: „Gazeta Reńska” czy „Roczniki Paryskie”.

Z Chopinem w 1830 roku „wyjechałem” do Francji. Chciałem wrócić do Polski z synem polskiego górnika, emigranta, w 1947 roku. Przez proste skojarzenie zrodziła się koncepcja: przeciwstawić tradycję Wielkiej Emigracji tradycję Wielkiej Reemigracji. Napisałem powieść — i tak piąty swój tom prozy, zatytułowany „Jacek Kula” — ustawiłem obok tamtych. Miał przeznaczenie „powieść dla młodzieży”. Nie przyjęło go zbyt przychylnie — na to się skarżyłem nie moge. We mnie obudził sprzeciw, choć nie wypieram się, że są w nim też strony, bez których nie mógłbym się obejść. Zaglądałem do „Jacka Kuli” często. Potrzebna mi była dyskusja z nim, czasem kłótnia, czasem śledztwo. W książce, na konkretnym tekście, szukałem błędów stronice już zapisanych i tych najgorszych błędów — które albo grozą, albo odychają od nie napisanych a formułujących się stron.

Ostatnie zdania tej książki brzmią tak:

„A trzeciego dnia o świcie pociąg przystanął w dolinie położonej między lekko sfalowanymi, niskimi wzgórzami. Jacek, przylutując czoło do szyby, patrzył jak czernią się na ich zboczach zaorane pola. Była to już Polska”.

„Wróciłem” zatem do kraju i najgoręcej chcę w nim pozostać. Pozostać — to znaczy pisać o nim, i — pozostać — to znaczy pisać nie daremnie. Tak zwane wysokie ambicje są nie prawem, lecz obowiązkiem każdego pracownika sztuki, nauki, techniki itd. itd. — słowo „pozostać” wypowiadam z takim właśnie uczuciem.

✱

Mówiąc o „Kształcie miłości” wspominałem, że wtedy zacząłem pisać „od nowa”. Ostatecznie od nowa pisze się każdą książkę. Tomy prozy trzymają przy sobie miesiącami — błędy pierwszych miesięcy są błędami ostatnich. Przewyciężyć je można dopiero nowymi i znów wielomiesięcznym trudem.

Wtedy jednak granica stała się dla mnie rzeczywiście granicą „od

nowa”. Byłem w momencie życiowym, nazywanym przez krytyków przełomem ideologicznym. Dla każdego, kto go przeżył, słowa te są zbyt zwężone i oschłe. Są przecież sumą lat, wielu ciężkich lub dobrych, czasem okrutnych a czasem pięknych doświadczeń. (Jak słyszałem, łatwe przełomy i cudowne uzdrowienia najczęściej zdarzały się symulantom).

Wydaje mi się, że w związku z tym warto wspomnieć o pewnym dość charakterystycznym chyba fakcie. Otóż tzw. normalne, powszednie dojrzenie ideologiczne zazwyczaj dokonuje się w pierwszym kryteriach prymitywnie politycznych — początkowo artysta czy naukowiec staje się tylko „politycznie uświadomionym” obywatelem. Nie chce w nim umniejszać takiego faktu — jest cenny i szlachetny. Ale jest zaledwie początkiem drogi. Poprzedzanie na tym początku będzie co najmniej błędem — dopiero od tej chwili zaczyna się walka o sztukę, o naukę, o awans filozoficzny i twórczy.

Tymczasem dochodzi niekiedy do ostrego pomieszania pojęć — w każdym razie dochodziło do nich. Nie jeden z twórców, krytyków i redaktorów żądał od siebie lub od innych np. taktycznych umiejętności i wiedzy działacza politycznego, a zapominając o tamtym awansie — zapomniał o sztuce natchnionej ideał rewolucyjną. Czy kryła się w tym zła wola? Sądzę, że w większości wypadków nie. Był to początek drogi wysokiej i stromej, bo twórczej.

Wyjaśnienia takie nie wystarczą jednak za usprawiedliwienie — bo ani historia się nie powtarza, ani błędy powtarzać się nie powinny. Po przykład zaś sięgnę do własnej półki z książkami.

Historia powrotu emigranckiego syna do Polski, Jacka Kuli, nie jest niestety jego historią. I dlatego tak często budził we mnie sprzeciw.

Chwilami bowiem odnoszę wrażenie jakby nad losami ludzi owej książki zaciążyła... koncepcja „wykładu historycznego o ruchu reemigracyjnym z lat 46—47”. I to dość uproszczonego — zbyt „optymistycznego”. Losy ludzkie zostały jej podporządkowane z dużą pedanterią — zamiast tego, by z nich właśnie wynikała i wynikała prawda historyczna ruchu. A więc doszło do pomieszania kompetencji pisarza z kompetencjami historyka, czy polityka. Wypadek na pewno nie pojedynczy — po części może, „typowy”.

A groźny w swej antyartystycznej „specjalności” widzenia. Zaciętna się bowiem wtedy pole opisu człowieka, następuje ograniczenie jego myśli, uczuć, odczuć i wrażeń do kręgu zagadnień specjalnych właśnie — traci się też z oczu pisarza obowiązek ukazywania praw ogólnych w losie jednostkowym — w obrazie zróżnicowanych indywidualności. W praktyce bohaterowie stają się nadmiernie gadatliwi, lub nadmiernie milczący, często zamiast myśleć zaledwie „wyglądają”, wrzuszają się zaś głównie przeżyciami interesującymi... historyka, choć opisywanymi przez pisarza. Niedobra to sprawa — i na pewno niepoli-

tyczna. Wynikła zaś ona z przeoczenia dość prostej prawdy: że polityka, historia i pisarza marksistowskiego łączy wprawdzie filozofia marksistowska, więc wspólna ideologia — różni ich jednak sposób i zakres widzenia ludzkich spraw, przeżyć i wrzrseń — sposób i zakres ich opisu.

Pozostaje pytanie: jakim sposobem, po „Kształcie”, który zacząłem pisać „od nowa”, po doświadczeniu, które jest mi bliskie i cenne, nie udało się sprostać nowemu tematowi? Tematowi współczesnemu — tym cenniejszym zatem dla pisarza, który pojmuję już, przeżywa i chce realizować postulat partyjności, polityczności dzieła sztuki.

Wiek XIX rozszyfrowali Marks i Balzac; Chopin i Rastignac nosili podobne kamizelki, Chopin i Delacroix ukazywali Wolność prowadzącą lud na barykady, „kierownikiem sumienia” pisarki George Sand był Piotr Leroux, o koncercie e-moll pisali Maurycy Mochnacki i Robert Schumann.

Nasza epoka ma na pewno bohaterów, myślicieli i twórców. godnych czasów największego przewrotu w dziejach ludzkości. Dlaczego trud jej opisanie jest tak ciężki? Wstyd zadawać pytanie, tak łatwa jest odpowiedź. Zgoda — tylko geniusz potrafi w pełni odczytać znaki rodzających się prawd, co dzień nowych a porywających.

My jednak — marksści — operujemy metodą poznawczą, którą wyostrza i wspomaga talenty, daje im siłę swej prawdy, ukazuje przejrzysty obraz świata. Partyjność dzieła sztuki jest przecież nie tyle postulatem, ile najwyższym gwarantem wartości dzieła. Brak zaś proletariackiego Balzaca w naszym środowisku dla protagonistów będzie chyba faktem mobilizującym, a nie powodem do lamania piór i rąk. Dlaczego więc literatura naszych lat dziesięciu — mimo wielu sukcesów — nie sprostała jeszcze historii dziesięciolecia, tak jak to się nam marzy, tak jak tego od nas żądają krytycy. Krytycy? Naród!

Wspominałem tu o zjawisku zaciętności i spłycania wyobraźni do zakresu „obcych literaturze specjalności”. Było to, jak sądzę, zjawisko powszechne i wyraźne. Myślę zarówno o twórcach, jak o krytykach — a wielu redaktorów również należałoby namówić do przeglądu swego sumienia... artystycznego — w tej sprawie właśnie.

Było ono następstwem spłyconego i ograniczonego pojmowania obowiązków, zadań i celów literatury — było skutkiem faszystowskiego rozumienia postulatów partyjnego, polityczności sztuki. Ileż to razy pisana i mówiona krytyka używała określenia „politycznie słuszne, choć artystycznie słabe” — w sensie niemal komplementującym — chociaż określenie takie jest politycznym i artystycznym nonsensem. Ileż to razy przy podobnych okazjach wytworzyła się atmosfera „konfliktu” pomiędzy politycznością a artystyzmem — rzekomo wykluczającymi się nawzajem cechami dzieła sztuki. Otwieram tu drzwi otwarte? Zgoda.

WALDEMAR RIWILSZO

Wokół nowej powieści F. Panfierowa

W trakcie nastąpiło starcie wielu zdań i poglądów. Dlatego też „Literaturnaja Gazeta” uważała za konieczne wystąpić z artykułem redakcyjnym, oceniającym sam utwór, jak i wyjaśniającym wiele nieporozumień, błędów i wypaczeń krytycznych, wypowiedzianych w atmosferze gorącej polemiki. Wyduski z zabierali głos czytelnicy, krytycy, redaktorzy oraz pisarze (K. Gorbunow, M. Szaginian, H. Nikolajewa, I. Kremlov). Utwór stał się również przedmiotem dwudniowych obrad sekcji prozy Związku Pisarzy Radzieckich.

Powieść drukowana była w r. ub. w 8 i 9 zeszytach pisma „Znamia”, ukazywała się więc w dniach, kiedy obradowało wrześnie plenium KC KPZR, poświęcone omówieniu sposobów dalszego rozwoju rolnictwa w ZSRR. To wzmogło zainteresowanie powieścią, która ukazywała życie wsi w szerokim, epickim obrazie, nie unikając rysów ostrych, nie omijając podstawowych spraw życia i konfliktów.

Powieść Panfierowa przeniknięta jest patosem wielkiego i bujnie krzwiącego się życia, jakim żyje naród radziecki. Pisarz podejmuje w niej aktualne zagadnienia współczesności, śmiało ingeruje w życie, bez obłonek, odważnie wyraża uczucia miłości i nienawiści, gniewu i aprobaty. Rozmach przedstawienia zagadnień o wielkiej wadze społecznej i państwowej — oto cechy, które jak najbardziej dodatnio charakteryzują utwór. Idea przewodnią powieści jest ukazanie walki społeczeństwa radzieckiego o wzrost ekonomiki i kultury narodu. Z utworu bije wiara w nieograniczoną możliwość twórczych człowieka, perspektyw przetwarzania życia poprzez opanowanie sił przyrody i wprężenie ich we własną służbę. W powieści spotykamy problemy naukowe biologii,

filozofii i ekonomiki. Nie są to jednak jakieś traktaty i abstrakcyjne rozważania groza kontemplujących filozofów — dyktowane są one przez życie. Zagadnienia teorii są dla bohaterów powieści Panfierowa zagadnieniami ich własnego życia, narzędziami rozwiązania ważnych kwestii praktycznych. Powieść wyraża też protest przeciw wszelkim przejawom rutyny, skostnienia, biurokratyzowania, jest apelacją o prawdziwie twórczy styl pracy, wyzwalający całość energii twórczej człowieka, zapewniający realizację jego zamierzeń i marzeń.

W trakcie narastania wydarzeń powieściowych, coraz wyraźniej zaczyna się rysować zamysł pisarza — głęboki, dotyczący spraw wielkiej wagi, a podstępny pisarzo przez życie, w którym dojrzewały ziarna zjawisk, jakie w swoim czasie określiła partia, nazywając ten proces drogą społeczeństwa ku komunizmowi.

Dyskusja nad powieścią pomogła nie tylko dokonać bardziej precyzyjnej oceny utworu Panfierowa, lecz również zdać sobie wyraźniej sprawę z zadań wobec których stoi obecnie literatura. Pisarz poprzez walkę z powierzchownym opisywaniem, mechanicznym, chociaż i literackim zapisem faktów, winni dążyć w swych utworach do odsłaniania głębi życia, podejmować ważne i aktualne problemy współczesności, nadając im taki kształt artystyczny, aby forma we współbrzmieniu z głęboką poznawczą treścią dzieła — stanowiła o jego ideowej, funkcjonalnej wartości.

Jak zaznacza w swym artykule redakcyjnym „Literaturnaja Gazeta” (Nr 12 z br.) w trakcie dyskusji ujawniły się poważne niedomagania krytyki, wkraczające już w dziedzinę zasad oceny dzieła li-

Ale ilekroć myślę o takich „drzwiach otwartych”, zbyt często przypominają mi się drzwi wahadłowe: zawsze otwarte, a zarazem zawsze wymagające silnego rozmachu ramienia. Przekonany bowiem jestem, że nieporozumienia trwają, że w zbyt wielu oczach — zarówno po lewicy, jak i po prawicy — polityczność i artystyzm mogą żyć w dziele sztuki jedynie trudnym życiem skłóconej duszy średniaka.

W fałszywym i spłyconym rozumieniu polityczności — miała ona stać się tylko wygodnym, gładkim kluczem do rozwiązywania problemów fabularnych, konfliktów psychologicznych i obyczajowych. Ileż to razy szukając filozofii pisarza w książce znajdowało się tylko... recepturę na „polityczną poprawność”. W fałszywym zaś i obcym rozumieniu artystyzmu, wszelkiego rodzaju rewizjonści ciągle jeszcze chwalił i chwala „wyobraźnię autonomiczną”, niezależną od partyjnego myślenia, wspartą o bliżej nieokreślone „artystyczne”, „filozoficzne”, „estetyczne” kryteria oceny. Tak jakby niejasnym było to, że bez prawdziwego artystyzmu nie ma prawdziwej polityczności dzieła sztuki — i że bez prawdziwej polityczności nie ma prawdziwego artystyzmu.

Teza ta, teoria ta jest jasna. Sprawdzaj się też w praktyce — sprawdza się jednak zbyt rzadko. Sądzę, że dzięki temu nawet tak inteligentny krytyk, jak Flaszen, przypomniał sobie o „konflikcie” między politycznością, a artystyzmem i wystąpił w „Życiu Literackim” z teorią trzech szlachezowanych „polityczności literatury”. Przypominam, że dwie z nich (niższe w hierarchii) mają być czymś w rodzaju rezygnacji z... literatury — trzecia zaś (najwyższa) prawie, prawie rezygnacją z... polityczności. Nie jest to zresztą jedyny wypadek tworzenia teorii wzajemnych wyrzeczeń, lub wzajemnych ubezpieczeń polityki i literatury. Tym bardziej, że właśnie praktyka ciągle jeszcze zbyt mało daje dowodów na siłę i szlachetność wzajemnych między nimi związków.

Jeśli zaś już mowa o tym „konflikcie”, wydaje mi się, że należałoby też poświęcić kilka słów swojej „teorii bezkonfliktowości”, która świeci u nas od czasu do czasu triumfy. Nie ma ona nic wspólnego z teoriami Wirtly, choć jak i w tym wypadku, ma bardzo wiele wspólnego z oportunizmem. Polega ona na unikaniu konfliktów z... wygodą, ze spokojem, z zaciszem gabinetu redakcyjnego, czy gładnością pisarskiego biurka. Tzw. trudne sprawy, tzw. ciężkie problemy, groźny polemika, konieczność decyzji, obowiązkiem angażowania swego sumienia, swej mądrości — groziły okrzykiem: „x. y. ...czyli król jest nagi”. Dokonywały się w związku z tym udane lub nieudane próby gładzenia, heblowania, politurowania i lakierowania. I to w dość szerokim zakresie — od małej „Przygody na Mariensztacie” do niemałej „Miłości”. Dziś już chwalimy gęsto i często pisarza za odwagę w podjęciu trudnego i ciężkiego tematu. Odwagę oczywiście chwalić należy,

nie powinna ona być jednak wyjątkowo okazją do pochwał, tylko zasadą, obowiązkiem twórczym, jedną z cech zwyczajnych i podstawowych. Tymczasem właśnie bardzo niedawno usłyszałem — i to z ust poważnego działacza kulturalnego, że po IX Plenum winniśmy uczyć społeczeństwo takiej troski o człowieka, jak „uprzejmość w tramwajach i grzeczność w urzędowym okienku”. Świadomie przesadam w wyborze cytatu, ale nie jest to zły przykład na ową teorię „bezkonfliktowości”. Bo już nie wiadomo — czy mamy być inżynierami duszy, czy technikami demokratycznego savoir-vivre’u.

Wszystko to — owe „konflikty” i „bezkonfliktowość” — łączą się, wiążą i uzupełniają. Wynikają zaś w moim rozumieniu z jednej zasadniczej sprawy — z zawężania obrazu świata, z lekceważenia specyfiki literatury, z politycznego i artystycznego oportunizmu — z pomijania choćby tak kapitalnie celnych sformułowań o odrębności przedmiotu sztuki, jak sformułowania Burowa. Są następstwem braku ideologicznego i artystycznego zaufania redaktorów do twórców, i twórców do samych siebie. Są dowodem na to, że wiele jeszcze procesów twórczych dokonuje się „na szczeblu” kryteriów prymitywnie politycznych, że awans filozoficzny i artystyczny jest trudny.

Błędy te są już znane — ale na pewno nie przewalczone ani przekreślone. Zastanawiam się: czy nie zdarzy się już wśród nas twórca, krytyk czy redaktor, który od pisarza domaga się widzenia świata właściwego dla asystenta, inżyniera, dyrektora personalnego czy działacza politycznego — zamiast spojrzenia na świat godnego partyjnego pisarza? Tymczasem, jak powszechnie wiadomo, pisarz ma obowiązek skupienia w swoich oczach całości obrazu świata — musi umieć przeżyć i historię miłosną, i myśl naukową asystenta, musi umieć wrzucić się twórczym sensem pracy inżyniera i ojcowiskim strachem personalnika, gdy zachoruje mu córka, zrozumieć literackie tęsknoty młodego działacza — itd. itd. aż po piękno ojczystego pejzażu, melodię piosenki ludowej i zapach skoszonej trawy.

Każde działanie człowieka, każde jego wrzrzenie, każda myśl, każde przeżycie jest własnością literatury i musi być przedmiotem myśli, przeżyć, wrzrseń i działalności pisarza. Wszelkie zaś zawężanie, wszelka „specjalizacja” jest wrogiem twórczości, wrogiem jej bogactwa, siły i wielkości. Świadomość tego musi towarzyszyć artyście zawsze — w każdej chwili jego pracy i życia. Szczególnie zaś artyście partyjnemu, który walczy w imię najbardziej humanistycznej, najbliższej człowiekowi ideologii, jaką kiedykolwiek znała ludzkość. Bijąc się o literaturę partyjną, bijemy się przecież o jej największe bogactwo, o najgłębszą prawdę i naszą ideologię wskaże nam drogę do niej nawet w gąszczu najbardziej zawiłanych konfliktów, ciężkich spraw, porywających zwycięstw, ludzkich szczęść i trosk, nieszczęść i radości. Wiele zaś jest jeszcze znaków na papierze i w druku, w kawiarniach i na sekcjach, że zbyt łatwo rezygnowaliśmy z partyjnej odwagi i partyjnej szczerości w poszerzaniu i pogłębianiu pisarskiego widzenia świata.

Są już znaki na niebie i ziemi, że tej fałszywej skromności i małej odwadze polska literatura wydała walkę. Należy ją chyba zaostriżyć jak najbardziej. Jeszcze nie wszyscy krytycy i twórcy o niej wiedzą — jeszcze kursują kapitałankie „teorie” wyrzecz i ubezpieczeń. A tak — jeszcze przed wielu dniami usłyszałem, że nie należy przesadzać w wielkich ambicjach, że propozycje Erenburga, sformułowania Pomierancewa i tezy Burowa to jeszcze „nie nasz etap”. Złe jest, że je w ogóle usłyszałem — co gorsza, usłyszałem je w pobliżu, niemal o ścianie od Domu Literatury — od kolegi! Czy to był tylko pogłos — samotne i ciche echo? Nie jestem pewien, ilu pozostało jeszcze spadkobierców małej wyobraźni, niedużej odwagi i niepełnej polityczności naszej literatury. Obawiam się, że zbyt wielu.

Dziś — wobec dziesięciolecia — pisarze powinni chyba dobić się do teoretycznych sformułowań a przede wszystkim praktycznych dowodów, czym w istocie winna być prawdziwa, celna, odważna i gorąca partyjność naszej literatury. Bez tego nie wyrównamy naszego bilansu z bilansem dziesięciolecia, choć żyjemy i piszemy w kraju, który wygrał je przeciw stuleciom.

W kraju tym dzieją się sprawy wielkie i małe, godne miłości, a także i te godne nienawiści — toczy się walka klasowa, jej odbicie drga w każdej duszy, jej głos brzmi w każdym domu. Dokonuje się największy przełom w historii naszego narodu. Lecz pole bitwy i budowy nie będzie chyba zbyt ogromne dla partyjnych pisarzy. Z taką busolą jak ideologia Partii pisarz nie zbłądzi — potrafi całą oczyzną objąć wrzrzeniem i wyobraźnią, potrafi przekazać jej bohaterstwo życiem bohaterów własnej epiki.

(Dokończenie na str. 7)

Jerzy Broszkiewicz

Z W I R

Siódmy rok.

„I czas już miasto moje opuścić,
Zostawić dworzec, perony, dym, smugę szyn.
Lekko westchnąć, w miarę się posmucić,
Załamąć strofę na męski rym.

Czas, abym troszkę szczecińską w inną troskę zmienił,
W blaski stolicy, w mądrość Krakowa“;
Trudne były dla mnie sprawy tej ziemi,
Nieukształcone, surowe.

Nadto — młodość... Podstępna smuga cienia,
Conradowska, brutalna: trzydzieści pięć lat.
A tu wciąż szorstka i surowa ziemia.
— Zostawić, zostawić — myślałem. Myślałem: zatrzeć ślad.



Rys. Jan Lenica

Trochę w tym przeczuł był, a trochę
Zabobonu na własny użytek.
Zamieszkania chciałem, by zapamięć o tem,
Że czas na mojej skórze ostrzy sobie brzytwę.

Czegóż jeszcze? Czy owej wv
Co bywa nagrodą za ileś mi?
Ciszy bibliotek? Układnej przygody?
Nauki przy biurku? Wymyślonych spięrzeń?

Spokoju wreszcie — czyli równowagi?
Drogi, łagodnie w górę się wznoszącej?
Zapewne, zapewne...

Oto sposób zdrady
Letniej: rzucić, co gorące,

W wodę — plyn syknie i mgłę z siebie wyda,
I kształty świata w oczach nagle zmaci,
I kamień rozpalony pęknie, i zagrzysza
Na dnie naczyńia żwir pospolitości.

F L A G I

Ale nie pospolite są te domki
W małych miasteczkach. Coś z magii
Było, gdy wojsko w czterdziestym piątym
Witały z tych domków polskie flagi.

Bezlistny bluszcz w okiennicach szeleścił,
Krył ściany bezlistny winograd.
Spod Radomia, Grudziądza, spod Mławy i Wrześni,
Rok czterdziesty, i pierwszy, i drugi, i trzeci:
Mieszkańcy osiedli w tych domkach.

Jeszcze grzmiała bitwa, a już w piwnicy
Znalazły się ręce, i igły, i nici.
Kogo wróg tu zawłócił — gospodarskim witał witanem.
Kto zeszył te flagi, kto widział te flagi — zostanie.

W O D A

Ale nie pospolita jest ta woda,
Nad którą w rozlewiskach stanął port.
Obrazem w sobie zatrzymać, słowem świata oddać
Tej wody bieg i zakręt, i historii zwrot.

Przychodzili tu żenicy z Buga, z kosami,
Na zniszczonych pochylniach kosić trawę.
Karmili wychudłe kozy tymi trawami
I dukali w przerwach alfabet.

Potem rzucili kosy — niechętnie, jakby na próbę
I gruzowisko stoczni świeży beton pokrył,
Aż po kilku latach — żelaznym kadłubem
Rozbili nośną wodę Odry.

Obrazy w tej wodzie odbite — nie przemina,
Okrety w tę wodę rzucone — popłyną.
Kto stoczniciem jest, kto — kapitanem,
Kto rzeczom tym bliski — zostanie.

L I N I E L O K A L N E

Ale nie pospolite są te linie lokalne,
Pociągi, w których pęcznieje notes,
Te stacyjki przy tartakach, gwarne i sentymentalne,
Gdzie wsiada i wysiada młodzież.

Te licea przy krętych strumieniach, rolnicze, leśnicze,
Czapki kolorowe na bakier.
Tutaj zmienia się glebę, dęby i pszenicę —
Szczegółiki na wielkiej mapie.

Tutaj, być może, łoskot piorunów
Dochodzi słumiony; tak bywa w głębszych warstwach ziemi,
Gdzie blasku nie dotarł blachtr, nie słyhać górnych szumów,
Lecz gdzie trwa o d z y w c z a praca korzeni;
O d k r y w c z a praca korzeni — cienkich, wszędobylskich,
Prężnych i ciekawych nowych soków i warstw.
Stąd przy bystrości spojrzenia — stateczna powolność myśli,
A na małych stacyjkach — tak serdeczny gwar.

Tu kombajnem się staje — co było sierpem,
Tu tory na bocznych liniach — nie ślepe,
Kto pociąg prowadzi — kto przy zwrótnicach stanie,
Kto w stukot kół się wsłucha — zostanie.

N I E S P R A W I E D L I W O Ś Ć

I cóż z tego, że dzień po dniu, noc po nocy
Mija mi na tej ziemi siódmy rok?
Czyżby dość już ta ziemia doznała pomocy
Moich rąk?
Czy słusznym jest młodość swoją zatrzasnąć,
Jak drzwi wagonu?
Czyż daje włosów pierwsze siwe pasmo
Prawo do chłodu i szronu?

Tych jezior blask, tych ludzi trud i zmagania
Sprawiły, żem prostował myśli mych każdą krzywość.
I choćbym wiersz najśłodszy rzucił na pożegnanie,
Smakowałbym gorycz w nim i niesprawiedliwość.

S P O D C H O S Z C Z N A

Ale sprawiedliwym jest ten chłop spod Białegostoku,
Któremu hitlerowcy dom spalili,
Co przyjechał latem czterdziestego piątego roku
Pod Choszczno, jakby jechał do Brazylii,

Czyli na obczyźnie, za zdrażliwe morze, w tułaczkę,
Za chlebem, w pustkę i karczowisko.
— Wróć, myślał w sercu, gdy mego życia taczkę
Wyciągnę z błota; wróć pod Białystok.

Dokupię ziemi — mówił swemu sercu —
Dokupię ziemi, która bliska dłońiom.
Wróć do starej roli, chociażby przed śmiercią,
A tutaj będę tęsknił i bił się będę o nią.

I wziął sobie żonę ów chłop i kochał ją jak ziemię,
I groz do groz gromadził niecierpliwie,
Aż zmarła mu żona — na zapalenie
Płuc. Pogrzebał ją uciążliwie

I żałował, i płakał, i sam w życiu został
I chodził na cmentarz, gdy już ziarno zmłócił,
I o ziemi tej, prochem bliskiej, mówił: moja wioska,
A do ziemi tamtej, nie mówił już, że wróci.

A ziarno, zebrane z ziemi bliskiej prochem,
Oddał z powagą swej troski Państwu, które żyw...
I które dostrzegł teraz, i pokochał.
Ci, co kochają, nie zawsze szczęśliwi.

Gleba, tak cierpka — urodzajną będzie,
Ziarno, w tę glebę rzucone — wszędzie.
Temu śmierć na tej ziemi — temu życie dane.
Kto kości tu złożyć pragnie — zostanie.

G D Z I E D I A B Ł Y S I E D Z A

Ale sprawiedliwym — o sprawiedliwości swej niewiele wiedząc —
Jest ów chłopak szesnastoletni;
O chłopcze! Przygnało cię, gdzie diabły siedzą;
W rumor stoczni, szum suwnic, w ogień prześwieitny —

W niebezpieczeństwach tysiąc, czyhających, groźnych;
Do metali czarnych, czerwonych i ciekłych;
Tę jasne, że rzucił się na ciebie strach przemożny,
Że przed nim uciekłeś.

I jak uciekałeś! Przez Polskę, przez Polskę,
Z miasta do miasta, z końca w koniec
I wszędzie ścigały cię bezlitosne,
Stalowe, parowe konie.

Wyrastały przed tobą ognie i kominy,
Piętrzyły się wody, metale, Szczeciny,
Aż gdzieś na którymś, którymś kilometrze
Westchnąłeś, odetchnąłeś — i było powietrze

I zacząłeś powietrzem tym oddychać, jak ryba wodą
I wróciłeś nad Odrę, osiadłeś nad Odrą,
I związało cię mocno z jej błyskiem i skrzem
I furia twa młodzieńcza wypłynęła w morze okrzem.

Lata, w tę wodę rzucone — nie zaginę.
Okrety, w tę wodę rzucone — popłyną.

S T E F A N K O Z I C K I

Wielki ocean Nowej Huty (2)

Patrzę na wielką halę wielkich kotłów siłowni: płatnina żelaznych przewodów, rusztowań, lin stalowych. Na tle czerwonych cegieł wysokich ścian koki — roboty dobiegają końca.

Wielka hala jest tak wielka, że 8 lokomotyw stojących pod pełną parą ogrzewa ją — i to z nienajlepszym skutkiem. Wśród czarnych, żelaznych rusztowań płoną czerwone ogniki — piecyki kokosowe. Tam, gdzie pali się ogień — pracuje brygada.

Słownia jest dziś niewralgicznym punktem Nowej Huty. Od wcześniejszego uruchomienia słowni zależy wcześniejsze uruchomienie innych obiektów. Zobowiązanie podjęte przez załogę budowy słowni, to nie łatwa sprawa do wykonania. Przyroda: śnieg i mróz są tu największym, najgroźniejszym wrogiem.

Stoimy pod wielkim kotłem, zadzierając do góry głowy. Dziwnie musimy wyglądać obserwowani z pewnej odległości: małe mrówki w wielkim lesie. Zadaje sobie pytanie: ile rusztowań, ile maszyn, ile cegieł ułożyły tu młodzieżowe brygady z myślą o Zjeździe Partii? Myśl o Partii była przy narodzinach tego kolosa z cegły i żelaza — myśl o Partii uruchomiła wcześniej skom-

plikowany zespół agregatów, suwnic i prądnic.

Wyciągam z kieszeni zetempowski komunikat. (Przydał się, kartki jego mają już pozaginane i postrzępione od ciągłego używania brzoگی). Czytam:

„Warto tu przytoczyć opinię, jaką brygadzie Potomskiego wyraził kierownik zespołu obiektów 133 — 139, inż. Kowalczyk. Powiedział on: Gdyby wszystkie brygady pracowały tak dobrze, jak brygada Potomskiego, to trzecia stacja pomp byłaby już gotowa. Widać u tej brygady, że rozumie trudne zadanie, jakie stoi przed budowniczymi słowni i realizuje je z poświęceniem“.

Przybyło informuje: z tym Kowalczykiem to miałem kiedyś taką awanturę, że hej!...

Znów wyjmuję komunikat nadany przez Przybyłę za pośrednictwem radiowęzła:

„Trzeba jednak stwierdzić, że obok świadomych i ofiarnych budowniczych, znalazła się wśród nas garstka takich, którzy w trudnych dniach walki o przedterminowe oddanie słowni do ruchu przełożyli swe małe, prywatne sprawy nad wielkie zadania organizacyjne. Kolejdy: Jan Góra, Antoni Karaś, Stefan Dudek, Teresa Płowicka, Bogusław Panek, Stanisław Absył, Adolf Lubacz, Edward Marek, Mieczysław Molen- da i Stanisław Stepiński — w ostatnim czasie zupełnie oderwali się ZMP-owskiej organizacji, przestali uczęszczać na zebrania nie widząc ich wkładu w realizację wielkiego zobowiązania...“

Z Lubaczem poznał mnie sekretarz Oddziałowej Organizacji. Przedstawiając go, poza wymienieniem oficjalnego tytułu: brygadziśta cielewski, i udzieleniem informacji o

W I E R S Z E Z E

G R A N I C A

Kto mnie nauczył,
Kto mnie tego nauczył,
Tak bystro dojrzeć nad rzeką
Błysk jaskółczy?
Wiatr z jaskółkami mewy nad wodą
Przemieszał,
Spokój napływa falami wody,
Wody i powietrza.

Słońce schodzi; podcina
Skrzydła czerwonym blaskiem,
Jastrząb milcząc wygina
Kęgi piórem spiczastym,
Na rzece barka,
Nad rzeką warta,
Na niebie biały pasek księżycy.
Granica.

Ku rzece szerokie pole:
Spółdzielnia.

Lecz nów księżycy wciąż jeszcze,
Nie pełnia.
Granica. Granica nie to, że narody
Wodami dzieli.
Granica. Granica jest wszędzie —
W powietrzu spółdzielni.
Jakież tu prądy przeciwnie
Krzyżują się wieczorami?
Jakież jastrzębie kołują,
Milcząc kołując nad nami?

Granica. Za cichą wodą
Był siedemnasty czerwca.
Kryje się, kryje w spokojnym mroku
Morderca.
Pocisk o księżyc w wodzie skąpany
Zapłuszcze,
Gwiazda swój cienki promień położy
Na muszce.



Rys. Jan Lenica

Kto mnie nauczył,
Kto mnie tego nauczył.
Dostrzegać nad wodą jedynie
Błysk jaskółczy?

Był siedemnasty czerwca
W pięćdziesiątym i trzecim roku.
Trzeba jak serce pobudzić do bicia
Niepokój.
Niepokój jak woda potrzebny,
Szeroki, swobodny i twórczy:
Sprawiedliwość pomnoży, miłości tej ziemi
Naucz.

B O G A C T W O

Czemuż życie nauczyło mnie tylu aż konkretności,
Tylu twardych obliczeń?
Czemuż nie zmusiło mnie do swobodnej, swobodnej miłości?
Do przeczuć niektórych? Do niektórych zwiędzeń?

Nie można zostać na zawsze fachowcem określać,
Rytownikiem dokładnym i suchym:

przekraczanych stale normach, do-
dał coś w rodzaju „fajny chłop“ (tu
trzepnął Lubacza po ramieniu). Na-
stępnie, odcignawszy mnie nieco
na bok, stwierdził dość donośnym
szeptem, że jednego, jednego Lu-
bacz uznaje za godnego przeniesie-
nia w poczet członków po skróco-
nym, półrocznym zaledwie stażu
kandydackim.

Dla partii przodownik, aktywista
— a bumelant i nawalacz dla ZMP?

Według otrzymanych przeze mnie
później „miarodajnych informacji“
wina Lubacza polegała na tym, że
nie przyszedł na kilka (wła, niego sa-
mego — dwa) zebrań ZMP-owskich.
Ale na tym nie koniec winy.

— Wezwano mnie na posiedzenie
Zarządu — mówi Lubacz — abym
wytlumaczył się z nieobecności. Po-
wiedziałem jak było naprawdę: że
zapomniałem po prostu. No i wte-
dy rozpętała się burza: że nie mam
prawa zapominać, że co to w ogóle
za tłumaczenie i tak dalej, i tak
dalej. W tym uznali moją najwięk-
szą winę. Zgoda. Na następny raz
prawdy już chyba nie powiem. Bę-
dę musiał, tak jak robią inni, wy-
myśleć jakąś prawdopodobną a
ważną przyczynę. Co zaś do innych
przewin wymienionych w komuni-
kacie, dodał je hurtem, widać ro-
zumieją tak: ten co na zebranie nie
przychodził w ogóle musi być do
niego.

Lubacz mówi lekko, szybko, na-
wet z uśmiechem, ale nie wiem czy
było mu przyjemnie, kiedy przez
megafon ogłaszano jego nazwisko
łącznie z nazwiskami bumelantów.
I w ogóle — dlaczego tak się stało?

Przypomina mi się wtedy histo-
ria awantury z inżynierem Kowal-

czykiem. Chodziło o jakieś złe zda-
nie Kowalczyka wykonane obli-
czenie kubików wykupu. Przy-
było robił tam właśnie, kiedy nad-
szedł inżynier. „On na mnie ostro.
No to ja niewiele myśląc łopatę za
trzonek oburącz, podnoszę do góry
i mówię: uciekaj stąd póki-
m do-
bry! Inżynier składał potem raport,
ale nie z tego nie wyszło. Wszystko
przez to, że jesteśmy — ja i on —
tak samo zawzięci i uparci“.

Mam więc nowy rys charakteru
Przybyły, typowego aktywisty mo-
dzieńowego na budowie: Tak za-
wzięty, tak pewny swego, że od ra-
zu — chwytł za łopatę. Raz w sen-
sie dosłownym, innym razem, jak
w wypadku Lubacza — w przenoś-
ni.

VI
Mówiono mi wielokrotnie w No-
wej Hucie: musicie koniecznie po-
znać bliżej Tadka Przybyłę. Zacie-
kawki was, jeśli przyjechaliście tu
rzeczywiście po to, aby poznać ro-
botę ZMP nie tylko od strony jej
efektów: lechby młodzieżowych bry-
gad, procentów wykonanych norm,
ale także od strony wewnętrznej
maszynierii tej roboty. Przybyło to
dobry aktywista. Zna się na proces-
ach produkcyjnych świetnie, umie
rozkręcić współzawodnictwo, umie
utrzymać porządek, dyscyplinę.
Ale... No, zresztą sami zobaczycie.

Mniej więcej trzeciego dnia znajo-
mości z Przybyłą zacząłem rozu-
mieć o co chodziło w tym „ale“...
Zrozumienie przyszło w momencie,
kiedy obserwowałem w pokoju Zar-
ządu ZMP następującą scenę:

Po dość dramatycznym przejściu
z maszynistkami biura Zarządu Bu-
dowy, które odmówiły Przyby-
le

WIRPSZA

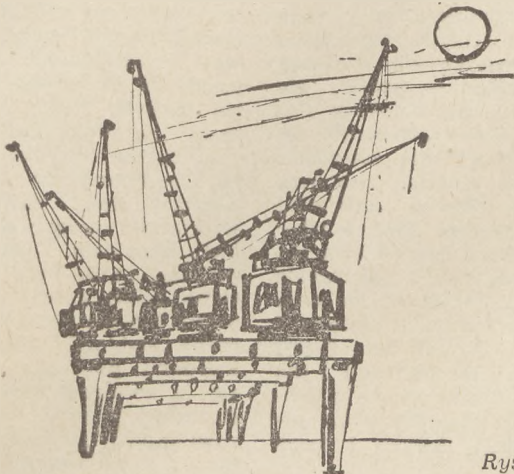
SZCZECINA

Toć bywa w piersiach ludzkich nieotwarta przestrzeń, —
Otworzyć ją sobie i ludziom, badać słuchem

I nie tylko słuchem, wzrokiem, dotykem — lecz także
Wyczuleniem, co wciąż nie ma nazwy;
Zbadać jej głębie, poszumy, rzucić na nią żagle
I parowce, zaludnić, wzburzyć; obrazy

Spieźrzyć tak, aby tę przestrzeń, co tajemnicą
Zdawała się najbardziej skrytą i wstydliwą,
Ukazać ziemi i niebu, lasom i ulicom,
Uczynić wspólną, jasną i godziwą

I dać dowód na to, że w piersiach każdego
Jest przestrzeń jak równina, po której rzeki biega,
Jak morze bezkresna, jak góry urwista,
Najgłębiej wspólna, choć tak osobista.



Rys. Jan Lenica

O, nie bać się uczuć wątpliwych, chybotać,
Poszukiwać serca.
Na początku szukania zawsze jest tęsknota
I bywa, że nawet smutek — to dobry siewca.

A ileż tego w mgłach nadodrzańskich, w zieleni jezior?
Znaleźć, zdaje się łatwo —
A trudno tak! Trudno omotać się wspólną, najcieńszą więzią,
Trudno odnaleźć to misterne, misterne bogactwo.

ŚWIATŁA

Nocą u nadbrzeża — cztery stopnie światła,
Gwiazd i latarni, latarni i gwiazd.
Gwiazdy — nieruchome, jak wszędzie nad światem,
W wodzie — drżące jak woda: raz po raz.

Lecz silniejsze od wody drgań nieprzezroczystych
Są światła, kreślące łuki i podkowy:
Portowe dźwigi bezsenne o gestach rytmicznych —
Oto światła pas środkowy.

I to jest port. Skrzyp dźwigów, gwizd pociągów, plusk węgla,
Gdy grudką niewielką na wodę upadnie
I ten pejzaż światła, i tęsknota wielka,
Gdy mieszkańiec śródmieścia ku wodzie się nagnie,

A potem wyprostuje i wszystkie te błyski
Na niebie dojrzy, ujrzawszy w wód:
Błaski z rąk ludzkich, galatyk odpryski,
Wody powierzchni, nieba dno i spód.

Te cztery stopnie światła, wzruszenie bezbrzeżne,
Zaduma falująca, jak Odry rozlewne państwo,
Jakżeż to sercu ludzkiemu na codzień potrzebne!
Jakież to bogactwo!

Z wzruszeń i tęsknoty czynimy świadomość:
Latarnie — mechanikom, gwiazdy — astronomom,
Ruch wody — hydraulic na światło przemieni.
A pejzaż? A nastroj? — Śpiewakom tej ziemi.

DOM

Ścian serdeczność swego domu
Monetą serca każdy spleca;
Temu wspomnienia już, a temu
Rosnąca miłość, czułość, praca.
Te ściany nie wznoszone przez nas,

Lecz odzyskane w krwawym trudzie,
Pomogły nam zachwianych jednać,
Życie prostować, myśli budzić.

Ileż to nocy nieprzespanych
Kładło w te mury marzeń obraz.
Bogate stały się te ściany
I pełno w nich wszelkiego dobra:

Przeszłości naszej i przyszłości,
Potrzebnej, ludzkiej samotności,
Dojrzałych łez i śmiechu dzieci,
Łagodnych blasków, ostrych cieni,
Na zawsze już zapędzanych zwątpień,
Myśli, co brały stąd początek.

Drogi tułaczki zboże porosło,
Ścieżki pobiłzeń pługi orzą
I coraz czystsza, coraz prostsza
Mówimy w domach naszych mową.

Ścian serdeczność swego domu
Monetą serca każdy spleca.
Temu wspomnienia już, a temu
Rosnąca miłość, czułość, praca.

MAŁE WZRUSZENIA

Małe wzruszenia!
Małe wzruszenia...
Ileż w nich tonów
Wielkiego sumienia.

Oto dziewczyna,
Co na głos czyta
W tłoczonym tramwaju
Wierszyk Norwida.

Jeden z tych drobnych
Wierszy ulotnych;
Czytałem ją go
Gdym był samotny.

Lecz ona czyta
Wiersz dla słuchacza,
A słuchacz pilnie
Na wargi patrzył.

O czym-że myślał
W tłoku i stuku?

Sądzę, że myślał
O pocałunku.

A tramwaj brzęczał
Na brzydkim moście,
A Norwid pomógł
Miodej miłości,

A Odra mokła
W jesiennym deszczu,
A wiersz się stawał
Najczulszą z pieszczoł.

Medyczką była
Owa dziewczyna,
A Norwid żywym
Mieszkańcem Szczecina.

Nie są najbłahsze
Te małe wzruszenia,
Przez nie się ziemia
Co dzień odmienia.

OBSADKA

Podniosłem ją z ziemi, jak się podnosi
Opuszczoną kromkę chleba.
I trochę w tym było radości, trochę ciekawości,
Zachłanności tyle, co trzeba.

Zwykła, drewniana, niebieska obsadka,
Tak niebieska, jak skłon firmamentu;
Stalówka była nowa i jak perła rzadka
Lśniła kroplą atramentu.

Kto pisał nią? Co pisał? Po jakim zdaniu
Spadła na ulicy ruchliwy chodnik?
Jaki ją przypadek pod stopy me zaniósł?
— Musiałem, musiałem podnieść.

Atrament jak sztabak wytarłem w palce;
Popatrz, jeszcze ślad został —
I niech zostanie! Po burzy, po walce,
Po rzucanych nad przepaściami mostach,

W dni pogodne — wystarczy się schylić
Nad brukiem w swoim mieście,
By znaleźć pióro, co dłoni nie myli,
Atrament nie wyschły jeszcze.

A potem, wsłuchawszy się w gwar na ulicach,
Wchłonał odgłosy, jak można, najlepiej
I usiąść wieczorem, i pisać, i pisać —
Tym piórem właśnie. Siąszysz, jak skrzypi?

O, dobry czas! O, żyzna godzina!
Tym piórem mnie Szczecin przy sobie zatrzymał,
Otworzył w piersiach ów rąbek przestrzeni,
Co tęsknotami jak tęcza się mieni,
I lekka jest, fizycznie nieważka,
I ważna jest, ważna.

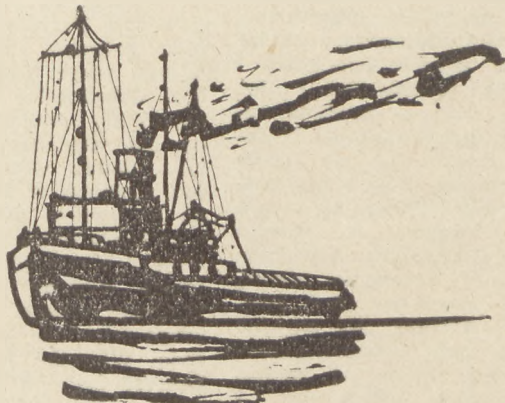
RACHUNEK

Więc jakże mi miasto moje opuścić,
Zostawić dworzec, perony, dym, smugę szyn?
Zechcę — i tutaj się mogę posmucić,
Zalać strofę na męski rym.

Zechcę... Lecz po cóż to dziwne chcenie,
Szukanie wzruszeń dla brzęczących nazw?
Kogóż obchodzi jakaś smuga cienia,
Smutków niedorzecznych zabobonny pas?

A tyle wzruszeń dotąd nie nazwanych
Wchłonał Wrocław, i Szczecin, i Gdańsk,
Odkąd ludzie przyszli do Ziemi Odzyskanych
Inaczej, niż twórcy imperialnych państw.

Ni telegraf zamorski brzęczał wtedy o nich,
Ani pismak pisał pożadliwy,
Gdy przybyli tutaj z dawnych kresów wschodnich
Rzeczypospolitej niesprawiedliwej.



Rys. Jan Lenica

Tej ziemi szmat, choć rzekli — nieobeszyl! —
Rozorał plug — i rzucił w ujścia rzek
Wszelaki czas, tak przyszył jak i przesył,
Aż zglębził dno i wyprostował bieg.

Więc niechaj pieśń sto wzruszeń dziś poruszy,
Dobędzie z wód polyski morskich lamp:
Tej ziemi dno — łożyskiem ludzkiej duszy,
Gdy rzednie mgła spod ostrobramskich bram.

Tej ziemi dno — to jezior migotanie,
Miasteczek ład, jesienny złoty pył
I nowy świat, którego odkrywanie
Trudniejsze jest, niż miara dawnych sił.

Tej ziemi dno — to ludzkiej piersi głębia,
Za wirem wir, bolesny myśli skręt
I radość prac, o którą się zazębia
I ciężar dni, i życia mocny pęd.

Tu zwątpień siła bywała podwójna
I wolno się zamyka nowej wiary strop,
Tu krew wzburzona bywa taka bujna,
Jak łomot wiatru morskiego o ład.

I oto wzrastam pośród tych przybyszy,
Dla których zyskać, odzyskać — znaczyło:
Życiu swemu się przyjrzeć i dojrzeć, dosłyszeć
Ojczyznę odzyskaną; słusność; sprawiedliwość.

Tej ziemi dno — to mądrość wolnych ludzi,
I brudzy zmian, łożące pięknie twarz;
Rachunek lat, którego nie odwrócisz.

Rachunek lat, najlepszych moich lat.

przepisania jakiegos tekstu, przewodniczący zmuszony był się sam przy maszynie. Stukał — z namiętnościem wodząc palcem w powietrzu — w tempie 3—4 znaki na minutę. Kolega, który wszedł właśnie do pokoju, mrugnął ku mnie łobuzersko i strojąc wesoło — poważną minę powiedział do przewodniczącego:

— Wykwalifikowane maszynistki stukają zawsze jednym palcem. Ale zlituj się nad tą biedną maszyną: stukaj przynajmniej dwoma!

Przybyło podniósł głowę ku wesołkowi a w jego oczach zamigotał wyraz prawdziwej wściekłości.

— Poczekaj! Przyjdzie jeszcze kosa do wozu. Zobaczymy, czy będzie na wierzchu. Stukam sobie jednym palcem (a będę stukał tak, jak mnie się podobał) stukam, a po roku tego stukania przyjdiesz do mnie i poprosisz: Przybyło, przepisz mi na maszynie podanie...

Przybyło, spec od masowej roboty, od mobilizacji, akcji i wielkich czynów — nie posiadał jeszcze sztuki rozmawiania z ludźmi. Umie zadać z trybuny. Umie nawoływać, wzywać, umie na pewno nawet — porwać. Ale rozmawiać z ludźmi nie potrafił. Nie potrafi rozróżniać ludzi. Nie potrafi inaczej jak sądzić wszystkich według siebie samego, według swej upartej, dumnej, twardej i surowej dla samego siebie natury.

Kiedysmy poznali się już dość blisko. Przybyło opowiedział mi nieświeżym pasjonującym historię:

Była na budowie ładna, młoda dziewczyna. W krótkim czasie została brygadystką. Serdeczna, miła — zaskarbiła sobie wiele sympatii

wśród partyjnych i zetempowskich aktywistów. W krótkim czasie — sama aktywistką została.

Przodownictwo jej samej i jej brygady budziło ogólny podziw. Procenty wykonywanych norm wzrastały z miesiąca na miesiąc. Ale pewnego razu fachowców w biurze ogarnął prawdziwy popłoch. Brygada G. wykonała tyle normy, że podawano w wątpliwość czy sam Waligóra mógłby wykonać taką pracę. Chodzono gromadnie na jej odcinek, rachowano, mierzono, przeliczano (zadnej pomyłki być nie mogło, chodziło o metry przesypanej ziemi, a to rzecz najłatwiejsza do obliczenia) — wszystko się zgadzało. 1 600 proc. normy dla G.

Rachmistrz może wierzyć w cuda, ale nie w swojej dziedzinie — cyfryściści. Zaczęto dochodzić: co i jak. I okazało się, że G. „skusiła miłosnym sposobem“ (termin Przybyło) młodego operatora ciężkiego sprzętu. Ten przyjechał w nocy na spychacz i w ciągu godziny wykonał za G. robotę przeznaczoną dla niej na tydzień.

Skandal!
— Przychodzi do mnie rano milicjant — opowiada Przybyło — pyta czy znam niejaką G. Znam, dlaczego nie, mówię, ale nigdy do niej nie miałem zaufania. A wiecie — pyta milicjant — o tym spychacz co go G. ukradła? Odpowiadam, że nie wiem, ale za to wiem, że była fałszywą aktywistką, że starała się być aktywna, ale tylko dla zamydlenia oczu. Milicjant zapisał i poszedł sobie. I myślicie, że G. coś zrobili? Nic takiego. Wzięto ją na rozmowę do Zarządu Zakładowego ZMP, gadał z nią sam

sekretarz Partii. Ech, gadanie, gadanie. Nadal jest aktywistką. Awansowała nawet. Tylko, że na innym odcinku pracuje. A ja jej nadal nie wierzę. Niech tam wszyscy się cieszą i zachwycają. Ja wiem jedno: powinna wtedy porządnie dostać po głowie. To była sprawa do prokuratora. Wiem co mówię. I pamiętam. Ze inni zapomnieli? Zobaczyć, przyjdzie czas, kiedy im przypomnę, moje będzie na wierzchu.

Bardzo ładna, i — mimo posmarku skandalu — świadcząca o czymś nowym historia flirtu przodownicy pracy z operatorem ciężkiego sprzętu, bardzo ludzkie, optymistyczne jej zakończenie — nie znajduje u Przybyło uznania. Do prokuratora!

Wiem z czego wypływa surowość sądu Przybyło w tej sprawie. Żona jego mówiła mi jak to w okresie narzeczeństwa Tadek nieraz, kiedy była „za bardzo skonana“ szedł w jej zastępstwie na nocną zmianę. Przybyło nie jest w stanie zrozumieć, że uczucie może być powodem wykroczenia, nie jest w stanie zrozumieć, że można w miłości postępować inaczej, niż on sam postępował.

VII

— Powiedzieć... Nieoficjalnie, bez firmowego blankietu Zarządu. Jest granica między tzw. zorganizowanymi i niezorganizowanymi, którą trudno przekroczyć bez paszportu? Na biuiku przewodniczącego Zarządu Zakładowego ZMP w Kombinate im. Lenina leży niebieska koperta. Zaadresowana krótko: ZMP, Nowa Huta. Adres nadawcy znacznie dłuższy: Betriebsgruppenleitung Abt.

Lehrbetrieb VEB Waggonbau Niesky (Brigade 016 und 018). Przez daleką zachodnią granicę łatwo nam już dotrzeć do sere młodych Niemiec przyjaciół. Czyżby przez granicę — tuż pod nosem — dotrzeć było rzeczywiście tak trudno?

Tow. Teichma, wbrew wszystkim zastraszonym dotąd przeze mnie o nim opiniom, nie wydaje się zdecydowany:

— Można mówić czasem o istnieniu takiej granicy, choć jej w zasadzie nie ma.

— Jak to należy rozumieć?

Teichmy przykład pierwszy: — Przychodzi zetempowiec do młodego chłopaka, wykonującego 150 procent normy. Chce namówić go na zobowiązanie podniesienia przekroczenia normy do (dajmy na to) 200 procent. Zaczyna zwykle rozmowę od słów w rodzaju: Apeluję do waszego poczucia obywatelskiego obowiązku... lub: Droga do socjalizmu wiedzie przez wyższą wydajność pracy! Powinności do rozumieć, a jeśli nie rozumiecie świadczy to, że...

Za często apelujemy do poczucia obywatelskiego obowiązku zamiast do prostego — uczucia.

Teichmy przykład drugi: — Przychodzi zetempowiec do młodego przodownika, który zaczął się ostatnio opuszczać w pracy. Widziano go kilkakrotnie pijanego, w nie najlepszym, ogólnie mówiąc, towarzysztwie. Zetempowiec zaczyna zwykle rozmowę od takich oto wywodów logicznych: Dzisiaj pięćce. Jutro będziecie bumelantem. Pojutrze chuliganem. Wreszcie — wrogiem. Przez wódkę staniecie się wrogiem władzy ludowej!

A czy nie można powiedzieć inaczej: Zaczynacie pić. Co powie na to wasza dziewczyna? Za co kupicie sobie nowy garnitur? Co powie o tym wasza matka, której dotychczas posyłałicie regularnie część wypłaty, a teraz ta część idzie na wódkę. Pomysłcie, jak będziecie się czuli, kiedy któregoś ranka obudzicie się w — rynsztoku?

Wniosek:

ZMP, tak świetnie umiejący przemasować, zaczyna dopiero uczyć się m o w i ć do młodzieży — różnym językiem, zależnie od środowiska, zależnie od sytuacji. Wielu aktywistom wydawało się, że są już poważnymi dorosłymi działaczami politycznymi. A teraz okazuje się, że byli jak niemowlęta. Szczęście, że w 99 wypadkach na 100 każde niemowlę musi przedzej czy później posiadać piękną sztukę mówienia językiem dla wszystkich zrozumiałym.

W rozmowie rozpoczętej od próby wytyczenia jakiejś „granicy“, stałe przewijało się pytanie: „Gdzie jest zła, a gdzie jest dobre?“ Szamotaliśmy się w tej zagadce spędzając już sen z oczu wszystkim starożytnym filozofom i musielismy dojść do wniosku, że w codziennym życiu Nowej Huty, postawienie surowej granicy między tymi dwoma pojęciami jest nadzwyczaj trudne. Np. chłopak, którego w niedzielę można bez wahania określić mianem chuligana, a który tydzień później „pracuje jak szatan“ bez chwili wytchnienia i który pracy swej nie traktuje jedynie jako źródła zarobku, ale jest do tej pracy przywiązany, jest z niej dumny. Nie można takiego człowieka za-

szufladkować według znormalizowanych wzorów.

— Nigdzie tak dobrze jak u nas — mówi Teichma — nie widać, że nie wolno „machnąć ręką“ na podaną złym wpływom czy nawet wprost chuligańską młodzież i powiedzieć sobie: „Zbudujemy socjalizm bez nich“. Ktoś holdujący takiemu pogładowi po przyjeździe do Nowej Huty ujrzy tu paradoks: przecież s o c j a l i s t y c z n a a Nową Hutę budują obok świadomej ideowo nam oddanej młodzieży i te typy, na które pozornie należałoby machnąć ręką. A nawet jeśli zakładamy, że wśród obecnej nam o b e c n i e m ł o d z i e ż y znajdującej się w szeregach budowniczych Nowej Huty jest pewien procent świadomych wrogów, których wychować się nie da, trzeba z ich istnieniem, z ich działalnością na budowie liczyć się — i to poważnie. Bo akcja wychowawcza nie idzie tylko w jednym kierunku: od nas do nich. Idzie też w kierunku przeciwnym. „Atrakcyjny“ styl życia chuliganów może zawrócić niejednego z prostej drogi, nawet jeśli przeszedł już po niej sporo kilometrów...

Z wielu stron słyszałem, że Teichma jest lubiany przez nowohutnicką młodzież. To c b słyszałem, powtarzam teraz na własną odpowiedzialność.

O Teichmie mówi się w Nowej Hucie wiele. Mówi się między innymi o tym, że niedługo ma awansować do władz centralnych w Warszawie. Wątpię, że by awans ten był awansem dla ZMP w Nowej Hucie.

O Teichmie mówi się: J u ż

ARTUR MARYA SWINARSKI

NOWE PARODIE

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

Wysokie progi

Wrażenia słuchowe nauczyciela domowego Żelazniaka

— Czemu kochany pan nie je zhażów? Może pan nie przyzwyczajony do mięsa, panie Naleśnik?

— Żelazniak, do usług pa.ii hrabiny.

— Że jak? Że Łażniak? Vous savez, Fhed, ich habe gah kein Gedächtnis iuh bühgehlische Namen... Niech Jan naloży biednemu panu Łażniakowi dużo kahtofli, nie znoei mięsa. My tu na wsi uphawiamy własne kahtofle, panie Łażienka.

— Ja też ze wsi, do usług pani hrabiny.

— Ale chyba nie z własnej, panie Wanienska...

— Zmienię, oczywiście. Pani hrabino, jest pani moją mużą...

A słowa dziwne, w wszechbicie zamknięte, Wstaną, by gonić ikarowym lotem, Hen, gdzie meteor okiem sfinksu świeci. Lecz gdy dziewiątą rozerwę zasłone, Wezmę cię wszystką i odejdę potem, By ślepy motyl, który k'turniom leci.

— „Ikahowya lotem“... Co za ohyginalny obhaz! O, bahonie, jaki pan nieszczęśliwy, że ugodziłeś się Polakiem. Euhopa nigdy się nie dowie o tych skahbach.

— Należałoby pańskie utwory czym prędzej przełożyć na wszystkie języki.

— Mam! Auhoha poznała w Buhgu sławnego poetę. Hehh von Hofmannsthal. Pochodzi ze stahej ahy-

— Może pańska, ale nie nasza. Czyżby mamusia puściła się z jakimś chamem?

— Proszę pani hrabiny, Maciejowa straszy w pałacu.

— Co za Maciejowa?

— Ta od kur, cośmy ją pochowali na świętego Jana.

— Kuhna baba w pałacu?

— W niedzielę lokaj widział ją w niebieskim salonie, a wczoraj wieczorem była w jadalni... na własne oczy...

— Jeżeli ta Maciejowa jeszcze haz będzie szaszyć w pałacu, niech mi Mahysia natychmiast zamelduje.

— Pani hrabino, pani hrabino! Maciejowa... Maciejowa przyszła... jest w kredensie.



Rys. Maja Berezowska

stokhacji, będzie mógł to przetłumaczyć na niemiecki. Pophoszę Auhohę, by się tym zajęła.

— A na francuski comtesse de Noailles.

— Panie Żelazniaku, Gućłowi leci krew z nosa...

— Idź prędko po ocet!

— Od tego jest służba.

— Ale dla braciszka mógłbyś...

— Czerwona krew, nie błękitna, tylko zwykła, czerwona krew.

— Przecież tłumaczyłem wam na lekcji, że krew składa się z ciałek czerwonych i...

BOLESŁAW LEŚMIAN

LIP A

Na lipcowej na lipie od Popielca od rana wisi sobie wisielec, oj da-dana, da-dana!

Obezdomił go rozbrat, cały ksobny ze żalu, by zakwitał na lipie niby kwiat na perkalu.

Tak ci wisi wisiołek, tak ci dynda dyndała, tak się zlipił z tą lipą, aż się gawiedź zebrała:

Przyczłapała z bezdroża i z bezrybia i z bezdna stora lepkich upiórów, nocnicowa, rozgwieżdżona;

trupiszydła skomlące lizą z lochów i dziupel, za kuśmidrem kuśmider, przy kurduplu kurdupel,

zezownice ukosem wyskoczyły ze żrenic, by się wleć przez pszenice aż do młdych niedopszenic;

cwałem goni Przysmrodek z Ulegalkiem-Michalkiem i Świdryga z Midryga, i Koszałek z Opalkiem;

tylko Gnidosz nie przyszedł, tylko Gnidosz się przelał, powędrował w zaświaty i zaginął jak szeląg;

ale przyszła Nietota z Nietotamtą i dyga, aż jej z lipy oddygnał piszczelami dziadyga;

drepcze rzygoń Wymiotek z wieńcem maków na głowie — czemu płakał po drodze, o tym nikt się nie dowie,

zakuśtykał o kusi kalinowy Dyrzymał, by zobaczyć, czy obwieś swego słowa dotrzymał;

przytańcował Mogilec z kurhanową Padliną, oj da-dana, da-dana! na odsiebkę, a ino — — —

Wtedy ujrzał ich Pan Bóg i wychmurzył się z cicha w niebnej dumie zadumie: skąd się wzięły te licha?

Czyżby on ich upiersił, wytulował i zudził? Czyżby on, oj da-dana! rozdałani i wluździł?

Kiedy stworzył tych wszystkich? w poniedziałek, czy w środę, gdy wymyślił chimerc, filodendron i wodę?

Zafrasował się Pan Bóg, bo odgadnąć nie może, więc się tylko przeżegnał i powiedział: „Mój Boże...”

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

Cztery listy

1

DO ŻONY DAGNY

Zakopane, dn. 30 listopada 1900.

Moje złote dziecko.

Wróciłem przed tygodniem ze Lwowa, mieszkalem u Jasia Kasprowicza. Żona jego Jadwiga jest najśladszym stworzeniem, jakie pomysł może i bardzo subtelna. Ale wiesz, że jestem wobec kobiet nieśmiały i wstydlivy, zupełnie jak brat Wacław, który siedem lat kobieci nie tknął.

Byliśmy z Kasprowiczami na „Gejszy“, to prawdziwa, istotna, głęboka i krwawa święta tragedia muzyczna przepięknego Jonesa, którą porównać mogę tylko z „Sakuntalą“ wspaniałego wizjonera Kalidasy lub z świetnym „Zmierzchem bogów“ podziemnego króla tonów Wagnera.

W Zakopanem spadł śnieg i góry bielutkie jak pawie. Szkoda, że Ciebie tutaj nie ma, najdroższa, jedyna Ducho!

Piszę artykuł o Kasprowiczu, w „Życiu“ obiecał dać mi za to trzysta koron. Ale tymczasem bieda, wielka bieda.

Ukochana Ciup, moja złota królów, postaraj się pożyczyc sto marek i przyslij mi telegraficznie. Ty moje szczęście, całuję Cię po milion razy i jestem szczęśliwy. Na całą wieczność Twój

Stasiu.

2

DO JANA KASPROWICZA

Zakopane, dn. 30 listopada 1900.

Mój Drogi, Najdroższy, Święty Jasiu.

Ty nie wiesz, czymś Ty dla mnie był, czymś Ty dla mnie jest. — Od dziecka byłem w Ciebie wpatrzony jak w tęcz.

Po szesnastu latach pamiętam każde Twoje słowo i nawet żółty Twój paletot, który mi się wtedy tak w duszę wraził, że po dziś dzień noszę żółty paletot. Rzadko o tym mówię, bo te wspomnienia, jak wszystko co głębokie — bardzo wstydlive.

Ty jesteś olbrzym — ty nie talent — ty geniusz. Piszę o Tobie dla „Życia“ rapsodie. Niech się ludzie nareszcie dowiedzą, czymś jest. Wieszcz!

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Nigdy się przed nikim nie koryłem, li tylko przed Tobą się koryłem, po raz pierwszy w moim życiu uczułem głęboką różkość, że mogę się ukorzyć i całować ręce.

Cudu i skarbie mój, piszę wspólną rapsodię o Janie, to olbrzym — to nie talent — to geniusz. Bądź dobra dla niego. Bo to rzeczywiście straszne dla dumy męskiej, a może dumy samca.

Jadziuta, może Ty nie chcesz, bym Cię tak mocno kochał? Jadziutek, powiedz, powiedz mi! Za parę dni będę przy Tobie, jak będę miał pieniądze na pociąg. Ty wiesz, jak ja jeden umiem pieścić.

Tylko mnie nie dręcz podejrzeniami. To co mówią ludzie o panie Anieli Pająk to plotka, Jadziutchna. A moja żona, a raczej panią Dagny wyrzuciła za drzwi, gdy tylko dostanę pieniądze by ją wyprowadzić. Dusza moja ją wypłula. Amen i Kyrie eleison! Dzieci zatrzymam, bo takie małe kanarki to święta rzecz.

Najśladszą pieszczocho Ty moja, nie masz wyobrażenia, jaka to męka dla mnie, prosić Cię, Dziuku, ale jeżeli możesz, to przyslij mi na tyłchmiast choć z trzydziści guldenów. Rozpacz!

Och jasna moja — Ty — Ty — Ty — Jesteś religią moją, moim wszystkim i żarliwym nabożeństwem moim.

Pieniądze wyslij zaraz telegraficznie.

Cały leżę przed Tobą i całuję nieskończenie Twoje złote, przynajmniej nóż. Twój, Twój, Twój

Stachu.

4

DO ANIELI PAJĄKÓWNY

Zakopane, dn. 30 listopada 1900.

Najdroższa Nelly.

Dziękuję Ci nasamprzód za fotografię naszej Stasi, jest całkiem do mnie podobna. Jakaś Ty szczęśliwa!

Ze mną źle. Pani Kaspr. to zła, przewrotna i potworna kobieta, zamęcza mnie na śmierć, jakaś zapalczywa nienawiść bucha wprost z jej listów. Dusza mi posiwiała.

Tylko Ty mi zostalaś, należymy do siebie. Bo tyś niepokalana — o! znalazłem to, com chciał powiedzieć: tyś niepokalana! Duszo moja — duszo — duszo!

Pokochołem Twoje ciało, takie miłe i słodkie i czyste. Nigdy nie widział tak przedziwnych piersi, jak u Ciebie. Pewno je Stasia zniszczyła. Ale Anuś najśladszą, wszak nie zrobiłem Ci krzywdy, dając Ci to dziecko? Nacierpiałas się strasznie przeze mnie, zasko-



Rys. Maja Berezowska

Jakiś Ty wielki i piękny! Pisałem mojej żonie o tym, Dagny Cię ubóstwia. Kłopoty mam wściekle, dostałem się w położenie bez wyjścia. Jeżeli możesz mi zrobić tę przysługę, to pożycz mi do 15-go grudnia osiemdziesiąt koron.

Całuję ręce pani Jadwidze, Ciebie ściskam po tysiąc razy. Twój

Stachu.

3

DO JADWIGI KASPROWICZOWEJ

Zakopane, dn. 30 listopada 1900.

Moja jasna, moja piękna, moja jedyna.

Łęsknię, łęsknię, pragnę — Ty moja, moja, moja. Całuję całe — całe Twoje ciało i pieczę, pieczę, pieczę. O Chryste Nazareński, Jam Twój, słodka Jadzia moja, Pragniesz mnie?

Jestem teraz spokojny i takimony, taki śmiesznie silny, tylko z pieniędzmi bardzo, bardzo źle.

Całe dwa dni latałem jak wściekły ogar by znaleźć kilkadziesiąt reńskich i móc z powrotem jechać do Krakowa, ale nic nie dostałem.

Słuchaj, jasne dziecko, jeżeli możesz pożyczyc mi dwadzieścia rubli do 10-go grudnia, to przyslij mi je tu dotąd telegraficznie natychmiast. Jak dostanę pieniądze za artykuł o Kasprowiczu, to odeślę.

Nie masz wyobrażenia, jaka to męka dla mnie prosić Cię, słodka, najdroższa. Tylko się śpiesz, dziś już na papierosa nie mam.

Ucałuj Stasię, bo to dziecko bardzo kocham. Całuję Cię Anuś i piersi Twoje całuję. Twój! gdybyś Ty wiedziała jak silnie Twój

Stach.

Prof. St. Helsztyńskiemu
Artur Marya Swinarski

„WYDAWNICTWO SZTUKA“
zawładania o ukazaniu się

POCZTÓWEK
z fragmentami obrazów

JANA MATEJKI

Do nabycia w księgarniach „Domu Książki“, i kioskach „Ruchu“.

Cena: 0.25 zł.

NOWOŚCI

POETYCZNE

Leopold Staff

WIKLINA

Str. 67

zł 2.—

Państwowy Instytut Wydawniczy

K 340-1

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Cynizm pozytywy

Przeczytałem program i zasmuceniłem się. Czy już naprawdę nigdy nie zdobędziemy się na to, żeby spuścić z napuszonego, minnowo-ponurackiego tonu, nawet wtedy, gdy fakty nie tylko mówią co innego, ale wręcz walą obuchem? Oto np. takie zdanko: „Nie dając głębszego ujęcia zjawisk społecznych włoski film „Nadziei za dwa grosze“ zarysowuje jednak dobitnie tragiczną sytuację człowieka pracy, którego losy kształtują bezwzględne, niszczące prawa kapitalizmu“. Na pozór wszystko w porządku — jest wołanie o pryncypialne podejście do spraw społecznych, jest o tragedii ludu, o barbarzyństwie kapitalizmu, słowem autor programu kinowego stoi na stanowisku nieprzejednanym i zasadniczym. Ja jednak jestem w duchu kontent, że reżyser Renato Castellani nie zna języka polskiego, a już żadną miarą nie przyjdzie mu do głowy, żeby czytać program do swojego filmu, jaki wydrukowano w Warszawie A. D. 1954. Zresztą pewnie by go nawet nie potrafił odszukać wśród sterty innych programów, w których, niezależnie od filmu, bez przerwy pisze się to samo, zupełnie jak byśmy przez kilka lat oglądali jeden i ten sam film... A filmy są różne, ten zaś, który zrobił ostatnio Castellani — „Nadziei za dwa grosze“ jest różny wśród różnych.

Wiem, co się mogło nie podobać w „Nadziei za dwa grosze“, gdzie tkwi źródło zastrzeżeń i wahania: — że bohater filmu, Antonio Catalano w dzień pracuje na plebanii w Cusano, w nocy robi komunistyczną robotę w Neapolu, że Carmela, jego dziewczyna, lawiruje na pograniczu nadmiaru temperamentu i patologii, że jego matka, wrzaskliwy babsztyl, odbiega od wzoru „ubogiej ale uczciwej“, że wreszcie jego nieścisły teść-pirotechnik jest nie tylko okrutnikiem, ale i wzorem odwagi, gdy produkując pętarzy sam w każdej chwili narażony jest na oglądanie ojczystego Cusano z lotu ptaka. Słowem, że z ekranu raz po raz mruga do nas czarowne „perskie oko“. Towar ten ma jednak u nas niezły popyt i na to nie ma rady, nie pomogą programy - izolatory, on dotrze do ludzi i będzie im się podobał. I pytanie, czy to tak bardzo niedobrze?

Amerikanie piszą dosyć cierpko, że Włosi od dziesięciu prawie lat bezceremonialnie wykorzystują w filmach swoją nędkę i robią na niej „big bussines“. Amerykanie okupujący włoskie wytwórnie próbują usilnie przytłaczyć się do tego interesu — robią filmy-falsyfikaty, naśladowane powierzchownie chwyty szkoły realistycznej, ale jakoś nie wychodzi, widownia nie tu tkwi sekret. A na domiar złego zjawia się taki Castellani, który nie nastawiając samogara filmowego na melodramat, „romantyczny a nędzny zaułek“, „piękna, dobra, a jaka nieszcześliwa“ itp. robi film, który podbija ekrany świata, ze Stanami Zjednoczonymi włącznie. I to czym podbija? — Nerwaną dziewczyną, tak narwaną, że przy niej Jane Russell jest jagniątkiem, dość niewytwornym bohaterem, a w dodatku „happy endem“! Tylko że u Castellaniego to wszystko nabiera nowej wartości. Wartości ludowej.

„Nadziei za dwa grosze“ nie jest filmem o ludzie, ale filmem ludowym. Zwykle kiedy ktoś „z zewnątrz“ obserwuje życie ludu barwy wypaczają się, robi się z tego albo malowana na modłę Strzyżewskiej, albo landrynkowa pocztówka Stachiewicz, albo melodramat z gatunku „litościwych“. Tymczasem sam lud nie ogląda siebie w żadnej z tych tonacji. O zabawności przygód Don Kichota stanowi romantyczna mgielka, przez którą bohater Cervantesa patrzy na świat. Ta mgielka może jednak u niektórych przerodzić się w bielmo, przez które już nic nie widać. Nie wiadać, że na romantyczną heroinę z przedmieścia jej sąsiadka, często nie bez racji, mówi „ta zwiariowana Julka od Iksińskich“ że istnieją sytuacje, kiedy kościelny z Cusano staje się komunistą z Neapolu, godząc te dwie funkcje logiką człowieka, który zarówno musi jeść jak i marzyć o lepszym życiu. Ludzie u Castellaniego zlorzeczają na swoją dolę, nie godzą się z nią, buntują, ale gdyby ktoś, jak autor wzmiankowanego programu, zaproponował im posadę bohatera tragedii obśmiałiby się zdrowo lub zapytali o zarobek, jak ci bezrobotni z Cusano, którym za 50 lirów nie opłaciło się traścić „posady bezrobotnych“. Bohaterowie Castellaniego, żyjący swoim własnym, bogatym, barwnym choć nędznym życiem są ludźmi najprawdziwszymi, pokazanymi tak, jak nie tylko włoski, ale i nasz człowiek pracy widzi swojego sąsiada. Gdzieś w prasie zachodniej przeczytałem, jakoby film „Nadziei za dwa grosze“ był cyniczny. Może, lecz ten ludowy cynizm, gwizdający na pańskie interesy z pozycji człowieka, który ma swój rozum i wie czego chce, jest wartością tak samo pozytywną, jak fatalizm Kubusia Fatalisty.

Krzysztof T. Toeplitz

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 886-11, 814-41 w 4 — Red naczelny 879-38 Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 800 21 Wydaje RSW „Prasa“ Kolportaż: P P K „Ruch“, Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięczne zł 4 60, kwartalne zł 13 80, półroczne zł 27 60, roczne zł 55 20. Wpłaty na prenumeratę indywidulną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa“ Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-111-5589, tel. 823-09 Rękopisy niezamówio-

Zakłady Drukarskie i Wkleśdrukowe RSW „Prasa“, Warszawa, Marszałkowska 3/5.

4-B-10592